

XXXI

Co Moskwa, ongiś czerwona, a dziś trój kolorowa, była i nadal jest w stanie "zamieszać" w Polsce, nikt tego jeszcze dotąd nie opisał i nie wiadomo, czy kiedykolwiek opisze. A jest to sprawa o pierwszorzędym znaczeniu dla zrozumienia dziejów Polski od końca II wojny światowej po dzień dzisiejszy.

Nie pretendując do wypełnienia tej luki, chciałbym jedynie zwrócić uwagę na bezsporny fakt, że opisywane przemiany w Polsce w latach 1989-1990 są niezrozumiałe bez uwzględnienia roli "radzieckiego czynnika". Uwzględnienie takie jest jednakże niezwykle trudne, gdyż czynnik ten był dla olbrzymiej większości Polaków niedostrzegalny. Coś tam ogólnie wiedziano o uzależnieniu PRL od ZSRR, ale w szczegółach mało kto wiedział w czym i jak się on konkretnie przejawiał.

Tymczasem zaś był on wszechobecny i decydujący o kierunku rozpoczynanych w Polsce przemian. Jeśli potoczyły się one znanym torem, to nie wynikało to jedynie z polskich tradycji pieniactwa, kopania dołków pod sobą i rozrabiactwa, ale także, a może nawet nade wszystko, z chytrego podpuszczania przez Moskwę jednych przeciwko drugim, albo wręcz z poleceń, które jej agentura, przy walnej pomocy (świadomej i nieświadomej) polskich służb specjalnych musiała wykonywać.

Przesada? Raczej "niedosada", jeśli można użyć takiego określenia.

Radzieckie służby specjalne, które od dziesięcioleci grały na "polskim fortepianie" jak chciały, po zakończonym "Koncercie 1989" zabrały się rażno do "Koncertu 1990". Przekazanie władzy w Polsce "Solidarności" przez PZPR, co po mistrzowsku

wyreżyserowały, miały już za sobą i teraz musiały dopatrzeć, żeby "Solidarność" aby nie urosła w siłę większą niż powinna i nie "bryknęła" im, zwłaszcza że polskie siostrzyce ulegały osłabieniu. Prawda, zanim do tego doszło służby radzieckie mogły się nimi wysługiwać. SB, Służbę Bezpieczeństwa, rozwiązano w Polsce dopiero w kwietniu 1990 r., a utworzony na jej miejsce UOP, Urząd Ochrony Państwa, był w znacznym stopniu jej kontynuacją. Co się zaś tyczy wojskowych służb specjalnych, to w III RP pozostały one, choć pod inną nazwą, po staremu. Utworzone bowiem we wrześniu 1991 r. WSI, Wojskowe Służby Informacyjne (wojskowy wywiad i kontrwywiad), nie były kierowane przez cywilów (i do dziś nie są), ani nadzorowane przez cywilne instytucje, jak rząd i Sejm, pozostając państwem w państwie (szczególnie chodzi tutaj o wywiad wojskowy, liczący w czasach PRL ok. 2 tys. oficerów⁷², do których należałoby jeszcze dodać co najmniej drugie tyle tzw. oficerów kadrowych, pracujących "pod przykryciem" w cywilnych instytucjach). Peerelowskie specjalne służby wojskowe, w każdym razie, wywiad zwłaszcza, ze względu na położenie Polski w strefie operacyjnej sił zbrojnych ZSRR, znajdowały się pod ścisłym dozorem GRU, radzieckiego wywiadu wojskowego (dziś rosyjskiego, który nazwy nie zmienił). Dla wyjaśnienia warto dodać, że GRU jest najstarszym (istnieje pod różnymi nazwami od 1810 r.⁷³), najbardziej doświadczonym i najsilniejszym wywiadem w świecie. On też najprawdopodobniej, u schyłku PRL i ZSRR, dokonał szeregu operacji, zabezpieczających interesy odradzającej się Rosji w jej "historycznej strefie wpływów", wśród której Polska zajmuje czołowe miejsce.

Radzieckie służby specjalne, zabierając się więc do wygrywania na "polskim fortepianie" (wolnym od jakiegokolwiek ochrony kontrwywiadowczej ze strony nowonarodzonej III RP) "Koncertu 1990", miały dziecinnie łatwe zadanie.

Zaczęły, z pomocą polskich siostrzyce i zapewne częściowo same, od uniemożliwienia wyłonienia się z szeregów "Solidarności" silnej partii politycznej, która mogłaby wypełnić pozostawioną po PZPR próżnię. Tym bardziej, że spośród dwóch wyłonionych z jej łona partii, SdRP miała przejąć majątek PZPR (SdRP została ponadto wsparta z moskiewskiej kasy

w stopniu do dziś nie wyjaśnionym).

Jak zatem radzieckie służby specjalne mogły uniemożliwić powstanie silnej "solidarnościowej partii", która mogłaby rozwojowi III RP przydać innego oblicza od powszechnie znanego?

Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Kluczem do powodzenia lub porażki operacji był Wałęsa, przywódca "Solidarności". Jeśli byłby on za powstaniem "solidarnościowej partii", to radzieckie służby specjalne musiałyby go jakoś zneutralizować, żeby im nie wadził. Jeśli natomiast byłby takiej idei przeciwny, to należało go ze wszechmiar popierać.

Wałęsa, co jakoś uszło uwagi większości Polaków, był jednakże przeciwny powstaniu "solidarnościowej partii" i nie jest tylko jasne, czy takie stanowisko było jego własnym pomysłem czy rezultatem radzieckiego "podszeptu", a wreszcie kiedy i jak zajął on stanowisko w tej sprawie.

Co się tyczy niektórych faktów, które mogłyby pośrednio dać odpowiedź na te pytania, to jakoś dziwnie "stłoczyły się" one w grudniu 1989 - styczniu 1990 oraz w kwietniu 1990 r. W grudniu 1989 r. Wałęsa był w Moskwie na pogrzebie Andrieja Sacharowa, ale nie wiadomo, czy spotykał się tam z kimś "ważnym" (choć nie musiał, gdyż w Gdańsku był radziecki konsul i inne placówki, nie mówiąc już o "natkaniu" tego miasta GRU ze względu na częste w nim cumowanie jednostek Floty Bałtyckiej).

Następnie, 20 grudnia 1989 r., doszło do spotkania Wałęsy z Sekretarzem KC PZPR Leszkiem Millerem, a w dziesięć dni później z I Sekretarzem KC PZPR Mieczysławem Rakowskim. W "końcu grudnia" tegoż roku, wydarzeniem o wiele ważniejszym, było spotkanie Wałęsy z ambasadorem ZSRR⁷⁴ (dnia spotkania nie udało mi się ustalić).

Od tych spotkań, w każdym razie, rozpoczęło się podbijanie słabnącej w kraju, po osiągnięciu apogeum w listopadzie 1989 r., popularności Wałęsy. Szybko też zaczął się odtąd zmieniać jego stosunek do rządu Mazowieckiego, który początkowo, czy to z jego własnej inicjatywy czy z podszeptu "z boku", był względnie poprawny. Ba, 12 grudnia 1989 r. zażądał

on nawet wyposażenia rządu (ku zaskoczeniu Mazowieckiego) w nadzwyczajne uprawnienia.

Wałęsa, gdzie tylko mógł, bronił rządu przed narastającą krytyką, mimo że miał z nim stosunki coraz chłodniejsze (przypomnijmy jednak, że Wałęsa latem 1989 r. na stanowisku premiera widział raczej Bronisława Geremka, ale ktoś go "przekonał", że należy jednak zgłosić Mazowieckiego, co posłusznie uczynił (poparła go też w tym KKW "Solidarności").

Po grudniu 1989 r., stosunek Wałęsy do Mazowieckiego uległ radykalnej zmianie na gorsze, a jednocześnie zaczął się on raptem pochlebnie wypowiadać o lewicy. I w tej sytuacji doszło 14 stycznia 1990 r. do spotkania Wałęsy z Mazowieckim. Zamiast jednak "wyjaśnienia" sobie różnych spraw, spotkanie tylko pogorszyło stosunki między nimi.

XXXII

Powodem gwałtownego pogorszenia się stosunków Mazowieckiego z Wałęsą było to, że w zaufaniu powiedział mu on o swoim zamiarze zorganizowania przedterminowych wyborów samorządowych. Zanim jednak Mazowiecki zamiar swój ogłosił, Wałęsa ubiegł go, już na drugi dzień po spotkaniu, sprzedając ten zamiar jako swój własny pomysł, co spowodowało ostrą replikę ze strony Mazowieckiego, w rezultacie czego doszło między nimi do nowego napięcia.

Nie trudno sobie wyobrazić, że skłócenie przywódcy "Solidarności" z premierem "solidarnościowego rządu" było jak najbardziej na rękę Moskwie. Tym bardziej, że zaraz potem znalazły się nowe powody do kłótni między nimi.

Oto bowiem, 18 stycznia 1990 r., zjechał do Gdańska i złożył Wałęsie wizytę ambasador ZSRR Browikow, jakoby dla wręczenia mu zaproszenia do oficjalnego odwiedzenia Moskwy. Był to jednak najprawdopodobniej tylko pretekst do sprowokowania jakiejś nowej kłótni pomiędzy Wałęsą a Mazowieckim.

Dla wyjaśnienia co mogło być powodem tej kłótni, należy sięgnąć do innych wydarzeń.

Od upadku "muru berlińskiego" 9 listopada 1989 r. (upadł z decyzji Moskwy), perspektywa zjednoczenia Niemiec stała się raptem realna. Kanclerz Kohl zaczął jednak kręcić z ostatecznym uznaniem polskich zachodnich i północnych granic. Wobec tego, Mazowiecki z Jaruzelskim zaczęli zgodnie przebąkiwać, że w tej sytuacji dalsze stacjonowanie wojsk radzieckich w Polsce było pożądane.

"Sojuszem mazowiecko-jaruzelskim" zamieszał jednak Wałęsa. Widząc Browikowa,

“naskoczył” bowiem na niego, żądając wycofania wojsk radzieckich z Polski do końca 1990 r. oraz “dokładając” mu jeszcze z powodu Katynia. “Naskok” obiegł lotem błyskawicy Polskę i świat. Zrobił się szum. Cały incydent był o tyle dziwny, że w czasie spotkania Wałęsy z Browikowem w grudniu 1989 r., podniósł on podobno sprawę ewakuacji wojsk radzieckich z Polski. Co więcej, “Tygodnik Solidarność” zamieścił nawet to żądanie Wałęsy.

Ale żądanie Wałęsy przeszło wtedy jakoś bez echa. Teraz zaś narobiło hałasu, a Mazowiecki z tego powodu oburzył się bardzo na Wałęsę, w efekcie czego stosunki pomiędzy nimi uległy dalszemu pogorszeniu się.

Jeszcze bardziej pogorszyły się po tym jak 9 lutego 1990 r., w “Tygodniku Solidarność”, którego redaktorem naczelnym był Jarosław Kaczyński (wraz ze swoim bratem Lechem byli obaj oddani Wałęsie), ukazał się artykuł Krzysztofa Czabańskiego, zapytujący kiedy Wałęsa zostanie prezydentem. Artykuł wytrącił podobno Mazowieckiego z równowagi, ale pomimo to, 15 lutego 1990 r., doszło do spotkania rządu z Wałęsą i KKW “Solidarność”. Wałęsa powiedział wtedy Mazowieckiemu, że “zasiadamy przy jednym stole, ale po jego przeciwnych stronach”.

Odtąd, już prawie otwarcie, “Solidarność” postawiła się w opozycji do “solidarnościowego rządu” (co prawda, na spotkaniu z rolnikami 12 marca i 2 kwietnia 1990 r., pomimo zaniepokojenia KKW skutkami “planu Balcerowicza”, Wałęsa jeszcze bronił rządu i personalnie Mazowieckiego, ale nie wiadomo czy czynił to szczerze).

W międzyczasie, sytuacja społeczno-gospodarcza w kraju gwałtownie się pogarszała. Tylko w I kwartale 1990 r. bezrobocie wzrosło prawie o 270 tys., a płace spadły o ponad 31 procent. Przerażone i zdezorientowane doły “Solidarność” zaczęły się więc domagać jakiejś kontrakcji ze strony jej kierownictwa dla poprawy sytuacji. Kontrakcji nie było, więc zakładowe organizacje “Solidarność”, nie bardzo wiedząc na czym miałyby ona polegać, same zabrały się do niej, dość naiwnie domagając się na przykład przyśpieszenia... prywatyzacji gospodarki (dotąd szła ona “na dziko”, gdyż ustawę o prywatyzacji Sejm

uchwalił dopiero 13 lipca 1990 r.).

Nic z tej oddolnej kontrakcji nie wychodziło jednak, jeśli nie liczyć pojawienia się “kuroniówek”, zup dla coraz większej ilości biednych. Coraz częściej też zaczęto się wzajemnie obwiniać, co Mazowiecki 30 marca 1990 r. nazwał początkiem “polskiego piekła”.

A co na to wszystko Wałęsa? Może zabrał się do jakiejś akcji skierowanej przeciwko szybko pogarszającej się sytuacji w kraju? Skądże! Zajął się własną karierą. Jarosław Kaczyński, bowiem, w wywiadzie dla “Życia Warszawy” z 10 kwietnia 1990 r., zgłosił kandydaturę Wałęsy na urząd prezydenta. Ciekawe tylko, że stało się to w ... przeddzień wizyty prezydenta Jaruzelskiego w Moskwie!

Czyżby oczekiwała ona takiej wieści z Polski? I czy aby nie przyczyniła się ona do niej?

Jakkolwiek z tym nie było, w dniu tym otworzyła się nowa karta w historii Polski.

Odnosnie biegu Wałęsy do Belwederu, to w jego gronie było wiadomo, że miał on “chętkę” na prezydenturę jeszcze w lipcu 1989 r., ale siedział cicho (pewnie na polecenie “z boku”). Od końca grudnia 1989 r. jednakże, czy to zachęcony prezydenturą Hawla w Czechosłowacji czy może wspomnianymi już rozmowami z Millerem, Rakowskim i Browikowem, przestał już siedzieć cicho, a nazwisko jego, jako ewentualnego następcy Jaruzelskiego, zaczęło raptem krążyć po kraju. W ten sposób, najprawdopodobniej, radzieckie służby specjalne badały na ile prezydentura Wałęsy miała społeczne poparcie. A z poparciem tym wcale nie było dobrze dla Wałęsy. Według badań opinii publicznej, największe poparcie w trzeciej dekadzie kwietnia 1990 r. zbierał Mazowiecki, 24 proc., Geremek, 19 proc., Jaruzelski, 16,6 proc., a Wałęsa tylko 16,1 proc.

Dlaczego więc Wałęsa uparcie pchał się na urząd prezydencki?

Jasnej odpowiedzi na to pytanie nie ma. Pomijając już jego chorobliwe wyobrażenie o swojej “wielkości”, jak też przecenianie swojej popularności, wiele wskazuje na to, że ktoś rozkazał mu ubiegać się o prezydenturę, najprawdopodobniej w celu “zamieszania” Polską.

A że tak właśnie mogło być, świadczyła wypowiedź Wałęsy na spotkaniu w rezydencji biskupa Tadeusza Gocłowskiego, odbytym w dniach 7-8 kwietnia 1990 r. (uczestniczyli w nim także Mazowiecki, Geremek, Michnik, Olszewski, Nowina-Konopka, Hall i Stelmachowski).

Wałęsa powiedział wtedy zebranym:⁷⁵

- "Panowie, ja i tak będę prezydentem, bez względu na to, czy wy tego będziecie chcieli, czy nie..."

Skąd taka buta u Wałęsy? Kto go zapewnił, że będzie prezydentem nawet wbrew czołowym działaczom "Solidarności"? Jaruzelski, Browikow, czy kto jeszcze?

Tego jeszcze nie wiemy. Faktem jest natomiast, że Wałęsa, na II zjeździe "Solidarności", odbytym w dniach 19-24 kwietnia 1990 r., na którym wybrano go powtórnie jej przywódcą, ze swojej prezydentury zrobił główny temat obrad.

- "Nie chcę być prezydentem, ale będę musiał!" - wykrzykiwał.

Wykrzyknął też jeszcze co innego: - "Nie będzie partii "Solidarność"!"

XXXIII

Pokrzykiwania Wałęsy na II zjeździe "Solidarności", że nie wyłoni ona ze swojego łona partii politycznej, szybko obróciły się wniwecz. Nie wnikając dlaczego tak pokrzykiwał (w moim przekonaniu, takie miał instrukcje), rzeczywistość przecież, już nawet w tym momencie, była inna. Jak to wspominałem w innym miejscu, partie o "solidarnościowym rodowodzie", jak to było z ZChN, nie mówiąc o kilkunastu innych, już istniały, a wiele pozostałych też gotowało się do swoich narodzin.

I tak, 12 maja 1990 r., bracia Kaczyńscy (głównie Jarosław), spośród istniejących dzięki ich inicjatywie od kilku miesięcy "grup", stworzyli partię PC, Porozumienie Centrum, a raczej partię-koalicję, która w swoich szeregach mieściła różne orientacje polityczne, jak chadecką, liberalną i ludową. Dzięki temu PC liczyło wkrótce ok. 60 tys. członków, stając się obok PSL (głównie "przefarbowanego" dawnego ZSL) i SdRP, największą w kraju siłą polityczną.

PC, nie mając oficjalnego błogosławieństwa "Solidarności", utożsamiała się mimo to z jej jakoby tradycjami chrześcijańsko-demokratycznymi i narodowo-prawicowymi. W zamysle bowiem, PC miało przeszkodzić wyłonieniu się z "Solidarności" partii o lewicowej orientacji.

Wałęsa w sprawie utworzenia PC nie tylko zachował dziwne milczenie, ale jeszcze 14 maja 1990 r. "pozwolił się" zgłosić PC na prezydenta. Tak postępując, stał się niepisany członkiem PC, które nie ukrywało swojej niechęci wobec Mazowieckiego.

Cóż takiego chciało Porozumienie Centrum?

Otóż udzieliło pełnego poparcia "planowi Balcerowicza", ale uznało przebieg jego realizacji za "połowiczny", a zmiany za zbyt powolne, domagając się ich przyspieszenia.

Powstanie PC było początkiem ideowej dezintegracji "Solidarności", choć trudno byłoby mówić o jej dotąd politycznej jednorodności. Tym bardziej, że już na drugi dzień po ogłoszeniu Wałęsy "w prezydenty", zapowiedział on "wojnę na górze", czyli z "solidarnościowym rządem"! A ponieważ jeszcze w tym czasie zaczął się kryzys w Komitecie Obywatelskim, a OKP zaczął chodzić swoimi drogami, więc tym gorzej zaczęło się dziać w szeregach "Solidarności".

Skutki tego, pomijając szereg innych wydarzeń, nie dały długo na siebie czekać, gdyż 16 lipca 1990 r., powstała nowa partia o "solidarnościowym rodowodzie", ROAD, Ruch Obywatelski - Akcja Demokratyczna, której przewodzili Zbigniew Bujak i Władysław Frasyniuk (ROAD, uważający się za partię bardziej liberalną od PC, miał krótki żywot, przekształcając się w grudniu 1990 r. w UD, Unię Demokratyczną, na czele której, po przegranych wyborach prezydenckich i rezygnacji z urzędu premiera, stanął Tadeusz Mazowiecki i która w kwietniu 1994 r., po połączeniu się z partią KLD, Kongresem Liberalno-Demokratycznym, zamieniła się w partię UW, Unię Wolności).

Wkrótce pojawiła się trzecia partia, probiznesowa i liberalna, częściowo o "solidarnościowym rodowodzie", założony w czerwcu 1990 r. KLD, Kongres Liberalno-Demokratyczny. Formalnie KLD znalazł się w szeregach PC, ale faktycznie zachował swoją odrębność, następnie z nim zerwał i a w 1994 r. wszedł w skład UD/UW (z jego szeregów wyszedł Jan K. Bielecki, "solidarnościowy premier" w okresie styczeń-grudzień 1991 r.).

W lipcu 1990 r. wreszcie, Aleksander Hall, minister w rządzie Mazowieckiego i jego gorący zwolennik, dawny twórca i przywódca RMP, Ruchu Młodej Polski, a potem działacz "Solidarności", założył czwartą partię o "solidarnościowym rodowodzie", FPD, Forum Prawicy Demokratycznej, gdyż jakoby nie bardzo mogła się ona "zmieścić" w ROAD⁷⁶ (FPD weszło następnie do UD, ale w 1992 r. z niej wystąpiło, przekształcając się w Partię Konserwatywną).

W ten sposób, "Solidarność", choć Wałęsa niby przeciwstawiał się jej

“upolitycznieniu”, faktycznie rozbiła się na partie polityczne i to w okresie o krytycznym znaczeniu dla jej dalszego istnienia. Co prawda, niektóre z tych partii czasem łączyły się, ale nigdy nie na stałe, w rezultacie czego “Solidarność” nie stworzyła zorganizowanej i jednolitej siły politycznej, patronującej ustrojowej transformacji kraju.

Niemożność, czy nieudolność, stworzenia przez “Solidarność” silnej partii politycznej, jest dziś główną przyczyną kryzysu III RP. Nie stworzyła partii na miarę potrzeb na początku swojego istnienia i nie stworzyła przy innej historycznej okazji, jaką było wyborcze zwycięstwo koalicji AWS we wrześniu 1997 r., mimo że taką próbę podjęła i partię o tej nazwie nawet stworzyła, ale jakoś rozpułyła się ona zanim podjęła jakąkolwiek działalność.

Stąd też wypowiedź Jana Pawła II w dniu 11 listopada 2003 roku na spotkaniu z przywódcami “Solidarności”, Januszem Śniadkiem, jej aktualnym przewodniczącym oraz Lechem Wałęsą i Marianem Krzaklewskim, jej b. przewodniczącymi, że “upolitycznienie związku doprowadziło do jego osłabienia”⁷⁷, jest dość niejasne. Jeśli bowiem papież miał na myśli niepotrzebne zabranie się “Solidarności” w 1989 r. za rządy, to zgoda. Jeśli natomiast miał na myśli wyłonienie się z jej łona licznych partii politycznych, to co innego. Krytykować “Solidarność” można nie za to, że zabrała się za politykę, ale że poza rozgardiaszem na scenie politycznej kraju niczego pozytywnego nie dobiła się. Apel zaś papieża, żeby wróciła “do swoich korzeni, do ideałów, jakie przyświecały jej jako związkowi zawodowemu”, jest co najmniej spóźniony. “Solidarność” bowiem, zgodnie z art. 100, par. 1 konstytucji III RP z 1997 r., wyklucza ją z politycznego życia kraju, zabraniając jej zgłaszania swoich kandydatów do Zgromadzenia Narodowego.

Nie roztrząsając dalej kwestii co by było, gdyby “Solidarność” stworzyła silną partię, mającą poparcie większości Polaków i która z III RP, nawet jeśli narodziny były podejrzone, uczyniłaby państwo na miarę wyzwania XXI wieku, powróćmy do wydarzeń w 1990 r.

Ich punktem centralnym były przedterminowe wybory prezydenckie, które miały być dokonane przez Zgromadzenie Narodowe, ale z różnych względów były one powszechnymi.

Ciekawe, że Zachód, który jeszcze niedawno zachwycił się Wałęsą, kiedy dowiedział się o jego prezydenckich zamiarach, raptem przeraził się taką perspektywą,wołając już Jaruzelskiego w Belwederze. Reformujący się komuniści, a za takiego Zachód uważał Jaruzelskiego, budzili u niego większe zaufanie, niż populiści, albo co gorsza nacjonaści.

Czym zatem mógł Wałęsa narazić się Zachodowi? Przecież pieniądze, po tym co w lipcu 1989 r. coś tam opowiadał na ten temat Mitterrandowi i Bushowi-seniorowi, od niego nie chciał. Ba, w czasie swojej wizyty w USA listopadzie 1989 r. nawet bajdurzył, że Polska pieniądze ma wbród, a jedynie banków nie ma!

Cóż więc stało się takiego, że ewentualny wybór Wałęsy na polskiego prezydenta nastraszył raptem Zachód?

XXXIV

Wałęsa wystraszył Zachód przede wszystkim domaganiem się ewakuacji wojsk radzieckich z Polski do końca 1990 r. W sytuacji, kiedy jeszcze były one w Niemczech (wyszły stamtąd ostatecznie dopiero w sierpniu 1994 r.), żądania Wałęsy uznano na Zachodzie za nierealne i wręcz awanturnicze. Bano się też napięcia na linii Moskwa-Warszawa (wojska rosyjskie zresztą - przypomnijmy - opuściły Polskę dopiero 17 września 1993 r. i to nie dzięki "przegonieniu" ich przez Wałęsę). Wypowiedź zaś Wałęsy w wywiadzie z 28 marca 1990 r. dla niemieckiego pisma "Elsevier", że jeśli Niemcy zaryzykują jeszcze raz destabilizację Europy, to "zostaną zdmuchnięte z mapy", wręcz przeraziła Zachód. Kto niby miał "zdmuchnąć" Niemcy, Polska? Czym mianowicie?

Nie należy też zapominać, że wówczas u władzy w USA, RFN i w Anglii, była prawica, tradycyjnie nieprzyjazna związkom zawodowym, a "Solidarność" była takim związkiem.

Inaczej myślano jednak w Moskwie, wtedy jeszcze czerwonej. Skoro zrezygnowano tam z PRL i poparto III RP (narodzoną zresztą z woli Moskwy), to "remanent" w osobie Jaruzelskiego był jej już do niczego niepotrzebny. Dlatego też, gdy tylko Wałęsa oficjalnie ogłosił 17 września 1990 r. swoją decyzję "marszu na Belweder", to Jaruzelski już następnego dnia (pewnie po telefonie z Moskwy) popędził "na herbatkę" do prymasa Józefa Glempa, gdzie zapowiedział swoją gotowość ustąpienia z prezydentury!

Co się działo już przedtem na linii Wałęsa-Mazowiecki, a jeszcze bardziej potem - nie

ma sensu przypominać. Obaj byli na dobre "na noże", z ludźmi coraz bardziej po stronie Wałęsy, jako że skutki "planu Balcerowicza" spowodowały gwałtowny spadek poparcia dla rządu Mazowieckiego i jego osobiście (w styczniu popierało go 90 proc. respondentów, ale w sierpniu już tylko 47 proc.). Mazowiecki jednakże jakby tego nie widział i 5 października 1990 r. zgłosił swoją kandydaturę na urząd prezydenta.

Odtąd walka przywódcy "Solidarności" z szefem "solidarnościowego rządu" weszła w nową i obfitującą w gorszące epizody fazę. Przypominanie ich zabrałoby zbyt wiele miejsca, podobnie jak opisywanie dotąd niejasnych kulis pojawienia się na "planszy wyborczej" 42-letniego Stanisława Tymińskiego, "człowieka znikąd", biznesmena z Kanady i Peru, obiężyświata o niejasnych koneksjach w Polsce, nie mającego nawet własnej partii (partia "X", jego zwolenników, powstała dopiero w marcu 1991 r., a więc już po wyborach prezydenckich).

Tymiński, jak się okazało, stał się groźnym rywalem Wałęsy. Wiece wyborcze bowiem rozpoczął z reguły od okrzyku "precz z Wałęsą!". Zebrani okrzyk podchwytywali i oto do niedawna polskie bożyszcze stało się w wielu miejscach kraju postacią zniechęconą, godną zastąpienia kimkolwiek, choć na ogół nie Mazowieckim. Co ciekawe, Tymiński mówił, jak też pisał, jeszcze o czymś innym, co warto przypomnieć:⁷⁸

"...Mam prawo, a także obowiązek zwrócić uwagę moim Rodakom na niebezpieczeństwo, które nam zagraża, a mianowicie na dążenie współczesnych sił międzynarodowych do stworzenia z Polski enklawy białych murzynów Europy..."

O proszę, tak mówi "człowiek z Zachodu", a oni wiedzą przecież co mówią...

Przedterminowe wybory prezydenckie - dodajmy - były swoistem dziwolągami, jako że 26 września 1990 r. Sejm podjął decyzję rozpisania przedterminowych wyborów do Zgromadzenia, ale w końcu daty ich nie wyznaczono, ani tym bardziej nie połączono ich z wyborami prezydenckimi. Inna rzecz, że ani pierwsze, ani te drugie, nie miały szans na normalny przebieg, zwłaszcza że bezrobocie gwałtownie wzrosło, do prawie 900 tys. po

dziewięciu miesiącach realizacji "planu Balcerowicza" i ludzie, gnębieni wizją jego dalszego wzrostu, jak też ostrym spadkiem stopy życiowej, nie "wielką politykę" mieli w głowie!

Z drugiej strony jednak, o dziwo, Mazowiecki jakby zaczął w badaniach opinii publicznej prowadzić przed Wałęsą, co tylko zaostriżyło walkę między nimi.

I w takiej atmosferze, 25 listopada 1990 r., doszło do prezydenckich wyborów powszechnych, pierwszych tego rodzaju w Polsce. Spośród 6-ciu prezydenckich kandydatów, przy frekwencji tylko 60,6 proc., Wałęsa zdobył niecałe 40 proc. głosów, Tymiński nieco ponad 23 proc., a Mazowiecki 18,1 proc., odpadając tym samym z II tury wyborczej 9 grudnia.

Wałęsa, który liczył na co najmniej 80 proc. głosów, poniósł więc niespodziewaną dla siebie porażkę, a Mazowiecki kompletną klęskę, która go całkowicie załamała psychicznie (już w dniu następnym podał się do dymisji z urzędu premiera, choć jego obowiązki jeszcze pełnił).

W II turze, przy frekwencji tylko 53 proc. (80 proc. Polaków oceniało wtedy swoje położenie materialne jako złe), Wałęsa, głównie dzięki silnemu poparciu przez Kościół, a także nowoutworzoną UD pod przewodnictwem Mazowieckiego, zwyciężył, uzyskując 74 proc. głosów, a więc został wybrany przez niecałe 40 proc. dorosłych Polaków. W efekcie tego, jego zwycięstwo było właściwie jego sromotną klęską, a przy tej okazji także III RP.

Formalności stać się jednak musiało zadość i Wałęsa, pomijając już różne komedie z tym związane, 22 grudnia 1990 r. został zaprzysiężony w Sejmie jako prezydent III RP.

Od tego momentu, jak to mawiał: "ja demokratycznie, półdemokratycznie, a nawet niedemokratycznie buduję demokrację..."

Budowa demokracji wymagała jednak skrócenia kadencji "kontraktowego" Sejmu, co zdecydowano jeszcze we wrześniu 1990 r. Po prezydenckich wyborach do sprawy powrócono i pierwsze całkowicie wolne wybory do Zgromadzenia Narodowego odbyły się 27 października 1991 r., z frekwencją tylko 43,2 proc. uprawnionych do głosowania, kolejna

kłęska III RP. Jeszcze większą jej klęską było rozproszenie głosów, jako że do Sejmu weszło aż 29 różnych ugrupowań (ilość ich w kraju przekraczała wtedy 100, a w maju 1992 r. doszła do 136).

Wybory nie tylko nie wyłowiły zdecydowanego zwycięzcy, ale jeszcze przyniosły niespodziankę. Formalnie bowiem, zwycięską była Unia Demokratyczna, zdobywając 12,3 proc. głosów, ale tuż za nią, z niemal 12 proc. głosów, uplasowała się koalicja SLD, stworzona przez SdRP. "Solidarność", która szła do wyborów niezależnie, ledwie przekroczyła 5-procentowy próg, ponosząc faktycznie klęskę. Słabo też wypadło PC (teraz już skłócone z Wałęsą, m. in. z powodu "szarogęszenia" się w Belwederze ministra stanu Mieczysława Wachowskiego, posądzanego o więzi z b. SB⁷⁹), zdobywając tylko 8,7 proc. głosów.

W kolejnych wyborach, 19 października 1993 r., jak to wtedy określono, zwycięstwo odniosły "siły postkomunistyczne", a nie dawne "solidarnościowo-opozycyjne". Koalicja SLD wyszła na pierwsze miejsce, zdobywając ponad 20 proc. głosów, dwukrotnie więcej niż UD!

Kłęska sił wywodzących się z "Solidarności" oraz jej samej, jako że do wyborów wrześniowych w 1993 r. poszła samodzielnie, nie sforsowała ona 5-procentowego progu i nie weszła do Sejmu (podobnie jak nie weszło PC), tłumaczyć można nie tylko ciężką sytuacją społeczno-gospodarczą kraju (choć Balcerowicz po wyborach z 1991 r. odszedł ze swojego stanowiska), ale marazmem tych sił, z którego nijak nie mogły się otrząsnąć.

W stopniu nie mniejszym, na klęskę tych sił, beznadziejnie skłóconych między sobą, złożyły się również niektóre nadzwyczajne i nadal niejasne wydarzenia w ich łonie. Zaczęły się one po 23 grudnia 1991 r., kiedy to "solidarnościowe siły", wspierane przez "solidarnościowego prezydenta" Wałęsę, powierzyły "solidarnościowemu" Janowi Olszewskiemu misję utworzenia rządu. Dysponując formalnie większością w Sejmie, faktycznie jednak nie miał jej ze względu na wewnętrzne rozbieżności. Ponadto w samym rządzie również rozpoczęły się kłótnie, w wyniku których odszedł Jan Parys, pierwszy cywilny minister obrony narodowej w polskiej historii. Na dobitkę, doszło jeszcze do napięcia pomiędzy premierem, który chciał przyspieszenia transformacji ustrojowej, a prezydentem, który zaczął ją hamować. W rezultacie tego, doszło do niecodziennego zjawiska, a mianowicie wycofania w maju 1992 r. przez prezydenta Wałęsę swojego poparcia rządowi Olszewskiego. Co więcej, nie wchodząc w szczegóły tego zagadkowego wydarzenia, Sejm upoważnił 28 maja 1992 r. ministra spraw wewnętrznych Antoniego Macierewicza do opracowania listy agentów SB, zajmujących wysokie stanowiska w państwie. Tak też stało się i na słynnej "liście Macierewicza" znalazły się 64 nazwiska takich agentów, a byłoby ich więcej, gdyby niektórych z nich, jak Wałęsę, Mazowieckiego, Chrzanowskiego, Trzeciakowskiego i paru

innych, Macierewicz nie zdjął ze swojej "listy" w ostatniej chwili (nazwiska te przedostały się jednak do opinii publicznej). "Lista" wywołała tumult w Sejmie, w efekcie którego rząd upadł 4 czerwca 1992 r. Ubocznym skutkiem było zaś to, że naciski części "solidarnościowych sił" na dekomunizację i tzw. lustrację, stały się teraz bez sensu, gdyż i one, jak się okazało, nie były wolne od agentury SB!

Powstały kryzys rządowy zażegnano co prawda, powołując 5 czerwca 1992 r. na premiera Waldemara Pawlaka, przywódcę PSL, ale był on byłym aktywistą ZSL i nigdy nie należał do "Solidarności". Pawlak dokonał natychmiast pewnych ruchów w jeszcze nie istniejącym rządzie, co stworzyło wrażenie jakby przygotowywał się do... zamachu stanu! A ponieważ w tym czasie Wałęsie zaczęto zarzucać powiązania z SB (do czego częściowo się nawet przyznał, sam zarzucając to innym), więc w wyniku powstałego zamieszania Pawlakowi nie udało się stworzyć rządu. Wobec tego, na wniosek tzw. Koalicji Ośmiu, Sejm 10 lipca 1992 r. powierzył misję stworzenia rządu 46-letniej Hannie Suchockiej, pracownikowi naukowemu i b. członkini SD, a następnie UD (nigdy nie należała do "Solidarności"). W kraju tymczasem, choć sytuacja społeczno-ekonomiczna zaczęła się nieco poprawiać, rozpoczęły się raptem akcje strajkowe, zagrażające trwałości rządu. Rzecz jasna, podziały polityczne w łonie "sił solidarnościowych" nadal trwały, z konfliktem na linii PC-Wałęsa dominującym wśród wszystkich innych, co w świetle niedawnej między nimi sielanki było niezrozumiałe.

Nic dziwnego więc, że wejście 17 października 1992 r. w życie Małej Konstytucji, przeszło niemal bez echa. Coraz głośniejszego echa zaczęły natomiast nabierać akcje protestacyjne PC przeciwko Wałęsie (chodziło o jego "złustrowanie"), do których przyłączała się też KPN oraz nowopowstała "Samoobrona". Co gorsza, z koalicji prorządowej wycofało się PL, Porozumienie Ludowe, koalicja SLD z kolei zastrzyła krytykę rządu, podczas gdy "Solidarność", pomijając jak do tego doszło, wyszła z antyrządowym wnioskiem, który jednym głosem przeszedł, w wyniku czego "solidarnościowy rząd" Suchockiej upadł. W

wyniku tej bratobójczej walki, doszło do przedterminowych wyborów, w których zwyciężyła koalicja SLD.

Tak więc, w czwartym roku ustrojowej transformacji, do władzy, w koalicji z PSL, która w nowym rządzie dostała stanowisko premiera (został nim Pawlak), doszły siły, które jeszcze niedawno wydawały się zejść na zawsze z polskiej sceny politycznej! Józef Oleksy z SdRP (dobrze mi znany z SGPiS), został marszałkiem Sejmu, a w marcu 1995 r. premierem, po tym jak dokonano "rekonstrukcji" rządu.

Zwycięskiej koalicji pozostało więc jeszcze wygranie listopadowych wyborów prezydenckich w 1995 r. I tak też się stało. Aleksander Kwaśniewski, przywódca SdRP/SLD, lepiej prezentujący się i lepszy mówca od swojego konkurenta, prowadzący ponadto kampanię wyborczą pod kolorem niebieskim, a nie czerwonym, pokonał Wałęsę. Nie w pierwszej turze 5 listopada 1995 r., co prawda, ale w drugiej, 19 listopada, uzyskując 51,7 proc. głosów.

Zwycięstwo postkomunistycznej lewicy w parlamentarnych i prezydenckich wyborach, było właściwie końcem "solidarnościowej rewolucji" (jeśli taka była w ogóle). Co prawda w wyborach wrześniowych w 1997 r., "rewolucja", występując jako koalicja AWS, Akcja Wyborcza "Solidarność" (z 40-oma podmiotami), zdobyła 33,83 proc. głosów, wobec 27,13 proc. zdobytych przez koalicję SLD, ale zwycięstwo jej było krótkotrwałe. Do koalicji AWS nie dołączyła bowiem UW, idąc do wyborów osobno, a zawarta tuż potem w nowym Sejmie koalicja AWS-UW, nie utrzymała się do końca jego kadencji. Z tego też i innych powodów, w następnych wyborach, 23 września 2001 r., przy frekwencji wynoszącej tylko 46,3 proc., koalicja SLD-UP zwyciężyła, zdobywając 41,04 proc. głosów (SLD wystąpił w wyborach jako partia, utworzona w grudniu 1999 r. na bazie SdRP; UP, Unia Pracy, powstała w czerwcu 1992 r. na bazie SP, Solidarności Pracy). SLD-UP za przeciwnika nie miały też dawnej AWS, ale o wiele słabszą AWSP, Akcję Wyborczą Solidarność Prawicy (uzyskała tylko 5,6 proc. głosów). Na drugim miejscu uplasowała się PO, Platforma Obywatelska, koalicja o rodowodzie częściowo solidarnościowym, która uzyskała 12,68 proc. głosów, na trzecim

“Samoobrona”, ruch-partia o niesolidarnościowym rodowodzie, z 10,2 proc. głosów, na piątym PiS, Prawo i Sprawiedliwość, partia utworzona w marcu 2001 r. przez braci Kaczyńskich z niedobitków PC, z 9,5 proc. głosów, na siódmym PSL z prawie 9 proc. głosów oraz prawicowa koalicja LPR, Liga Polskich Rodzin z prawie 7,9 proc. głosów. UW, Unia Wolności, ongiś flagowa partia “solidarnościowych sił”, nie sforsowała 5-procentowego progu.

Wynik wyborów, diametralnie odmienny od poprzednich, choć i poprzednie były dalekie od oczekiwanych, świadczył o głębokim kryzysie, w jakim znalazła się III RP. Obok kryzysu społeczno-gospodarczego, najprawdopodobniej już strukturalnego, pojawił się jeszcze groźniejszy kryzys polityczny. Żadna bowiem z sił politycznych, z lewa, z prawa czy z centrum, pomijając już, że w aktualnej sytuacji nie są one wyraziście zarysowane, nie cieszy się poparciem większości wyborców, a jeśli już, to partie o rodowodzie komunistycznym.

Jest to zły omen dla przyszłości III RP.

XXXVI

O tym, że III RP przeżywa kryzys - powszechnie wiadomo. Tak na przykład, Wiesław Władyka pisze, iż:⁸⁰

“Zdecydowana większość Polaków twierdzi, że reformy III RP nie udały się i że ich życie na tym ucierpiało...”.

Ile wynosi owa “większość”? Powtarzając za Ewą Wilk:⁸¹

“... Ciągłe rośnie odsetek osób przeświadczonych, że zmiany po 1989 r. negatywnie wpłynęły na ich życie (68 proc.), a tylko 6 proc. Polaków ocenia reformy jako udane”.

Jeśli tak, nawet zakładając, iż tak źle nie jest, a liczy się opinia ludzi, nie zaś suche dane statystyczne, III RP sprawia wrażenie chybionej budowli, którą należy bądź szybko poddać radykalnej przebudowie, bądź zburzyć ją i zabrać się do wznoszenia następnej - IV RP.

Aleksander Hall, w podtytule “IV Rzeczpospolita” swojego artykułu⁸², pisząc o jej ewentualnej budowie, właściwie nie wskazuje na jej możliwych budowniczych. Chęć na jej zbudowanie wykazuje jedynie Prawo i Sprawiedliwość, podczas gdy Platforma Obywatelska jest niezdecydowana, a jak myślą inne partie polityczne - z artykułu to nie wynika. Sam Hall budowę IV RP uważa “za błąd”.

Zresztą, już niezależnie co ktoś myśli o IV RP, gdzież są siły polityczne zdolne podjąć się takiego dzieła? Przecież PiS w pojedynkę nic nie zdoła!

Siły polityczne ponadto, nie istnieją w oderwaniu od polityków, a ci w narodzie nie cieszą się sympatią, gdyż jak pisze Janina Paradowska:⁸³

“Ponad trzy czwarte Polaków uważa, że polscy politycy są nieuczciwi; prawie tyle samo, że są niewiarygodni; ponad 80 proc. twierdzi, że dbają wyłącznie o własny interes, a nie o dobro Polski (sondaż CBOS z czerwca tego roku)”.

W świetle powyższych faktów, konkluzja może być tylko jedna: III RP jest chybionym dziełem, ale jej naprawa, albo zamiana na IV RP, jest bez szans. Można co prawda wyobrazić sobie, iż jakiś niekontrolowany zryw skończy z III RP, ale czy równie niekontrolowanie zbuduje IV RP? Bez polityków, do których Polacy w swojej większości nie mają zaufania, nie da się tego zrobić. Jacyś ewentualni “trybuni ludowi”, zmiatający III RP, wcześniej czy później muszą sami stać się politykami. Ale jakimi? Czy wizję IV RP będą w stanie raptem stworzyć i zrealizować?

Cóż zatem można naprawdę zrobić w istniejącej sytuacji?

Czekać aż coś się samo zrobi? Albo oddać się w pacht Unii Europejskiej i NATO, które z Polski zrobią co zechcą?

Moim zdaniem, a zabrzmiałoby to zapewne wysoce kontrowersyjnie, błąd popełniono na samym początku, kiedy zabrano się za obalenie PRL i tworzenie III RP.

PRL, formalnie istniejąca od lipca 1952 r., jako że przez osiem lat była z nazwy RP, była w gruncie rzeczy III RP. Nie taką, jakby większość Polaków tego chciała, ale taką, jaką w tamtej rzeczywistości mogła być. Prawnie, była ona Państwem Polskim, powszechnie w świecie uznawanym. A że faktycznie nie była w pełni suwerenna, to w podobnej sytuacji znalazł się po II wojnie światowej cały szereg innych państw, także po “zachodniej stronie”, jak np. RFN w czasie “zimnej wojny”.

PRL z pewnością należało jakoś rozmontować, co gorzej lub lepiej uczyniono. Słusznie przywrócono jej nazwę RP, ale z sileniem się na tworzenie III RP nie należało przesadzać. Pewnie, nowa Rzeczpospolita Polska nie była prostą kontynuacją II RP, podobnie jak ta nie była I RP, ale wokół tej zamiany nie należało robić “wielkiego dzwonu”. Tym bardziej, że nawet nie bardzo wiadomo kiedy on uderzył. Historyk Andrzej Garlicki słusznie

zauważa5, iż tak naprawdę, to nie wiadomo kiedy dokładnie narodziła się III RP (podobnie zresztą - dodaje - było z narodzinami II RP). Wymienia nawet trzy daty takich narodzin: zakończenie obrad Okrągłego Stołu, powołanie rządu Mazowieckiego oraz zburzenie pomnika Feliksa Dzierżyńskiego. A jeśli do tych dat dodać jeszcze inne, jak poprawkę do Konstytucji z 1952 r. z 29 grudnia 1989 r., która zniósła "PRL" jako nazwę Państwa Polskiego, przywracającą mu historyczną nazwę "RP", albo powtórne "ukoronowanie" "Orła Białego" 9 lutego 1990 r., samorozwiązanie rządzącej PZPR, likwidację SB, zmianę świąt narodowych, pierwsze całkowicie wolne wybory i opuszczenie Polski przez wojska rosyjskie, to dat narodzin III RP zaczyna być tak wiele, że w końcu zaczynają one graniczyć z groteską.

Tym razem, co więcej, nie tak jak w 1918 r., kiedy Państwo Polskie nagle wyłoniło się po 123 latach obcej niewoli, istniało już ono od 45 lat, a uległo jedynie, a raczej zaczęło ulegać, gdyż proces zmian nie został zakończony, różnym ustrojowym transformacjom. A że są one dalekie od spójności i jasności odnośnie ich ostatecznego końca, podobnie zresztą jak we wszystkich innych tzw. postkomunistycznych państwach, to już inna sprawa.

Ustrojowym transformacjom w Polsce nie towarzyszyła przecież żadna oficjalna dekomunizacja, podczas gdy lustracja, znacznie opóźniona i nawet nie połowiczna, dziś już zresztą prawie zapomniana, nie odegrała w niczym godnej uwagi roli.

A czy powinno być inaczej?

Może i powinno, ale ponieważ tak nie stało się, jako że okrągłostołową ideą przewodnią był "antykryzysowy pakt" głównych sił politycznych (innych zresztą nie było w praktyce), któremu sekundował Kościół, więc sprawa schodzenia ze sceny dziejowej PRL i narodzin III RP, do lipca-sierpnia 1989 r. nawet nie brana przez nikogo pod uwagę, uległa niespodziewanym zakrętom, w wyniku których nastąpiło przysłowiowe pokręcenie z poplątaniem. "Gruba kreska" Mazowieckiego zatem, która spotkała się z wieloma zarzutami, aczkolwiek wówczas nie do uniknięcia, dopełniła reszty. Inna rzecz, że w sytuacji, kiedy kraj gospodarczo spadał na łeb na szyję, nie można było pozwolić sobie na żadne porachunki,

które mogły doprowadzić do rozlewu krwi, a może nawet interwencji zbrojnej ZSRR. Przecież jeszcze istniał i mógł porwać się na nią.

Czego wobec tego nie dokonano, albo dokonano niewłaściwie, skoro już zabrano się za demontaż PRL oraz poród III RP, a w rezultacie tego sprawy nie poszły zgodnie z oczekiwaniami, nie tylko narodu, ale nawet i autorów przemian?

Odpowiedź na to pytanie, jest wysoce złożona i nie krótka.

Wiele bowiem przyczyn składa się na to, że III RP znalazła się w głębokim kryzysie, na którego przezwyciężenie dosłownie nikt, ani partie, ruchy, Kościół czy poszczególne jednostki, nie mają recepty.

XXXVII

Odpowiedź na postawione pytanie byłaby bez porównania łatwiejsza, gdyby znane były kulisy przemian w Polsce.

Z ideą "Okrągłego Stołu" wyszedł co prawda Kiszczak, ale nie on był jej autorem. Był nim Jaruzelski, jak to wynika z ostatnich badań dokumentów przeprowadzonych przez prof. Andrzeja Garlickiego⁸⁴.

Czyżby sam Jaruzelski podjął taką decyzję? Żarty na bok! Dziś już sporo wiadomo na temat kulisy przemian w całej "wspólnocie socjalistycznej", których początek przypadł na 1984 r. (dokładna data nie jest znana, ale prawdopodobnie dopiero po śmierci Andropowa 9 lutego 1984 r.). Część członków Biura Politycznego KPZR (nie bardzo wiadomo którzy) oraz szef wywiadu KGB (był nim wówczas Władimir Kriuczukow) rozpoczęli prace nad przemianami w ZSRR, które potem przybrały postać "pierestrojki"⁸⁵. Prace tego rodzaju - dodajmy - nie mogły być rozpoczęte ani prowadzone bez wiedzy armii, zwłaszcza jej Sztabu Generalnego (głównie wywiadu wojskowego GRU), który, jak to dopiero obecnie wychodzi na jaw, od września 1935 r. został wyposażony w daleko idące pełnomocnictwa we wszystkich sprawach dotyczących zdolności obronnej i bezpieczeństwa kraju⁸⁶. A nie ulega wątpliwości, że "pierestrojka" zahaczała o te sprawy (jest więc bardzo możliwe - jak to już wspominałem w innym miejscu - że obok płk. Władimira Rubanowa z KGB, który opracowywał "pierestrojkę", działał również płk. Witalij Szłykow z GRU, dziś generał i nadal w czynnej służbie).

Kto i kiedy dał Jaruzelskiemu rozkaz z Moskwy, że może swój "stół" rozpoczynać - tego nie wiemy. Ale jakkolwiek nie było, do "okrągłostołowej komedii" doszło. Nie warto powtarzać rzeczy już raz napisanych, ale do niektórych należy jeszcze powrócić i odpowiednio je skomentować dla uwypuklenia niecodzienności tego wydarzenia.

O tzw. stronie koalicyjno-rządowej, siedzącej po jednej stronie "stołu", nie ma się co rozpisywać, ale do tzw. solidarnościowo-opozycyjnej należy dodać kilka szczegółów.

Jak wiadomo, zasiadła ona przed zniesieniem formalnego zakazu działalności "Solidarności" (zniesiono go 17 kwietnia 1989 r.), aczkolwiek władze tolerowały jej półjawne funkcjonowanie, dopuszczając w październiku 1987 r. do połączenia się TKK, Tymczasowej Komisji Krajowej (utworzonej po "stanie wojennym" z resztek Komisji Krajowej), z Tymczasową Radą "Solidarności", w wyniku czego powstała KKW, Krajowa Komisja Wykonawcza "Solidarności".

KKW jednakże nie zasiadła do "Okrągłego Stołu", gdyż ani władze jej tego nie proponowały, ani nie chciał tego Wałęsa. Co dziwniejsze - przypomnijmy to - w grudniu 1988 r., na zaproszenie Wałęsy, zjechało do Gdańska 119 różnych osób, które utworzyły Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ "Solidarność". Od tego dnia istniały więc jakby dwie "Solidarności"! "Komitet", złożony często z ludzi nigdy nie będących w "Solidarności", ani Wałęsie znanych, stał się teraz faktycznie jej reprezentacją. I jak to stało się, że ani Wałęsa, ani nikt z "Solidarności", nie przeciwstawił się temu?

Co tak udziwniona "Solidarność" wytargowała przy "Okrągłym Stole", już wspominałem w innym miejscu, ale teraz należałoby zastanowić się - dlaczego właściwie zasiadła ona z władzami do negocjacji? Przecież władze nie zniosły zakazu jej działalności, ani też, co najważniejsze, nie chciały słyszeć o wolnych wyborach do odtwarzanego Zgromadzenia Narodowego. Strona "solidarnościowo-opozycyjna" z kolei nie domagała się żadnego udziału w nowo wybranym rządzie, a więc akceptowała charakter istniejącego, a tym samym PRL!

Czego więc chciała? Paru foteli poselskich i senatorskich, nie wiedząc jeszcze w kwietniu 1989 r. ile ich zdobędzie?

Jeśli tak, to dlaczego w parę miesięcy potem rozwiązywała PRL?

Rozwiązywała - dodajmy - gdyż tak tego chciała Moskwa, a tym samym musieli chcieć "kontraktowy" Sejm i Jaruzelski, nowowybrany prezydent ginącej już PRL i rodzącej się III RP, jak też... Wałęsa.

Czy Wałęsa, jeśli istotnie był tym, za kogo się podawał i w co ślepo wierzyła ogromna większość Polaków, musiał w ogóle zasiadać do "Okrągłego Stołu" na kiszczakowskich warunkach i negocjować coś, co już w kilka tygodni po jego finale było ledwie świstkiem papieru? Do czego śpieszył się? Moskwa, która już wtedy zdecydowała się na demontaż "wspólnoty socjalistycznej", w ten czy inny sposób skończyłaby z PRL i jej ekipą rządzącą, tak jak to uczyniła wszędzie indziej. Co najwyżej, gdyby Wałęsa jej nie posłuchał, nie jego doprowadziłaby potem do najwyższej władzy w III RP.

A może tak właśnie byłoby lepiej? Kiedyś napisałem, że Wałęsa dowiódł, zostając prezydentem III RP, iż od tego czasu już każdy może w Polsce pełnić ten urząd⁸⁷.

"Okrągły Stół" zatem, podchodząc do niego tylko od strony politycznej, nie tylko Polsce nic nie dał, ale był ze wszechmiar szkodliwy. I dlatego szkoda, że do niego doszło.

Parcie bowiem Wałęsy do prezydentury, pośredni wynik "stołu", już na początku istnienia III RP zgangrenowało kielkującą scenę polityczną, czego skutki ciągną się do dziś i co jest jednym z powodów jej obecnego kryzysu. Zamiast bowiem przyczynić się do wyłonienia z szeregów "Solidarności" silnej partii politycznej, zdolnej pokierować transformacją kraju, swoim sprzeciwem wobec takiego wyłonienia się i rozpoczętą "wojną na górze", Wałęsa zniszczył już bodajże bezpowrotnie szanse pojawienia się takiej partii. Plotąc bez ładu i składu, a to o EWG-bis i NATO-bis, a to o wzmacnianiu "lewej nogi", wzmocnił w końcu Kwaśniewskiego i to na całe dziesięć lat, z wielką niewiadomą co będzie potem.

Skoro od strony politycznej "Okrągły Stół" był stratą czasu, to co dał w dziedzinie

społeczno-gospodarczej?

Formalnie, wśród "powspólnotowych noworodków", polski wydaje się istotnie okazem. Poza tymi z b. ZSRR, narodzonymi później, polski zwiększył swój wzrost w ciągu 13-tu lat o 30 procent, podczas gdy węgierski tylko o 12 procent, słowacki o 11 procent i czeski o 5 procent, natomiast bułgarski i rumuński zmalały w tym czasie⁸⁸ (o krajach b. Jugosławii nie wspominam).

XXXVIII

Fakt, że pośród "powspólnotowych noworodków" polski rósł najszybciej (bo radzieckie, poza uzbeckim, do dziś mierzą mniej niż przy urodzeniu), nie świadczy bynajmniej o tym, że "plan Balcerowicza" był sukcesem. Przeciwnie, można przecież zapytać, czy polski noworodek nie mógł rosnąć jeszcze szybciej. Polska bowiem, nie tak jak pozostałe kraje "wspólnoty", nie miała od 1978 r. niemal żadnego przyrostu produkcji. Stąd polski noworodek powinien był szybciej rosnąć. Niestety, rósł za wolno jak na wymagania, a od 1998 r., co gorsza, zaczął nawet zatrzymywać się w swoim wzroście, podczas gdy inne "powspólnotowe" noworodki rosły od niego szybciej. Nie ma też żadnej gwarancji, że polski, wchodząc w wiek młodzieńczy i dojrzały, nie stanie się cherlawy, jako że występują już tego symptomy.

O tym wszystkim wiadomo dopiero teraz, ale czy którakolwiek ze stron, zasiadając do "Okrągłego Stołu", miała jakąś wizję przyszłości? Zwłaszcza, że w Polsce, wskutek znanych wydarzeń, jak "Lato 80", "stan wojenny" i "powojenny", doszło do dialogu władz z opozycją (zakładając jego wiarygodność), podczas którego można było poważnie przedyskutować całokształt problemów, w pierwszym rzędzie społeczno-ekonomicznych, najbardziej doskwierających ludziom w życiu codziennym.

Czy wykorzystano w pełni historyczną okazję, jaką był "Okrągły Stół" i zawarto "antykryzysowy pakt", o którym mówiła solidarnościowo-opozycyjna strona? Rządowo-koalicyjna o nim przecież nie mówiła, a jedynie o niesprecyzowanym "stowarzyszeniowym pluralizmie".

Dlaczego jej ustapiono?

W rezultacie tego z "paktu" nic nie wyszło. A od jego zawarcia solidarnościowo-opozycyjna strona powinna uzależnić debatę nad wszystkimi innymi problemami. Skoro strona rządowo-koalicyjna sama z "paktem" nie wyszła, to solidarnościowo-opozycyjna powinna ją do tego zmusić, wysuwając własne i skonkretyzowane postulaty. Ba, powinna nawet uciec się do chwytu Gierka ze stycznia 1971 r. i zapytać rządowo-koalicyjną - "Pomożecie?". Niechby wtedy strona rządowo-koalicyjna powiedziała, że nie pomoże i wyjaśniła dlaczego tego uczynić nie może! Za przeszkodę miała "względy zewnętrzne", "układy wewnętrzne" czy może po prostu brak jej było jakiegokolwiek pomysłu na wyjście z kryzysu? Przecież powinna była wiedzieć gdzie i jak można było szybko coś zmienić w produkcji, żeby poprawić zaopatrzenie rynku, zwiększyć eksport i rentowne inwestycje. W tej dziedzinie władze nie miały tajemnic nie tylko przed Moskwą, ale także już coraz bardziej przed Zachodem, a dlaczego miałyby je mieć przed stroną solidarnościowo-opozycyjną? A jeśli miały, to należało im to wytknąć, wyjść z własnymi propozycjami, albo trzasnąć drzwiami!

Niestety, strona solidarnościowo-opozycyjna jakoś dziwnie dała wmanewrować się w dialog ze stroną rządowo-koalicyjną, który był przysłowiowym młóceniem słomy. W efekcie tego, w najbardziej palących sprawach społeczno-gospodarczych "Okrągły Stół" zamienił się w roszczeniowe postulaty ze strony solidarnościowo-opozycyjnej, z których zresztą i tak nic nie wyszło, jako że jego ustalenia bardzo szybko uległy dezaktualizacji ze względu na dalszy rozwój sytuacji, podczas gdy strona rządowo-koalicyjna chwytiała się wszystkich możliwych uników.

Strona solidarnościowo-opozycyjna popełniła jeszcze jeden kardynalny błąd, zasiadając do "Okrągłego Stołu". Wiedziała przecież, że strona przeciwna, zanim do niego zasiadła, otworzyła służę kryminalnemu samouwłaszczaniu się nomenklatury. Prawda, coś tam bąkano na ten temat pod nosem, ale nie zażądano zatrzymania i cofnięcia tego procederu,

podobnie jak nie zażądano innych podejmowania innych karkołomnych decyzji (jaką było zniesienie 1 sierpnia 1989 r. kontroli cen na żywność). Czego obawiano się, że spotka ją zarzut sprzeciwiania się prywatyzacji i swobodzie wolnej gry cen? A niechby nawet taki zarzut strona rządowo-koalicyjna postawiła! "Solidarność" była przecież przede wszystkim związkiem zawodowym, którego statutowym obowiązkiem było bronić interesów pracujących, a nie nomenklatury!

Po co był więc "Okrągły Stół", który jeszcze prof. Garlicki uważa dziś za jedną z dat narodzin III RP? Cóż on takiego urodził poza wspomnianym już "pomieszeniem z poplątaniem"? A kiedy był istotnie potrzebny, w czasie kiedy Balcerowicz zabierał się do swojego "planu", to wtedy go nie było! W "Solidarności", gdyż o nią tutaj głównie chodzi, zakorzeniła się, co gorsza, naiwna wiara, że rząd Mazowieckiego, jej własny rząd, dokona cudów. Zawierzono bezgranicznie nie tylko Balcerowiczowi, ale także ministrowi przemysłu Tadeuszowi Syryjczykowi oraz ministrowi budownictwa i gospodarki przestrzennej Aleksandrowi Paszyńskiemu, że "niewidzialna ręka rynku" wszystko załatwi, byle tylko jej nie przeszkadzać.

A co ta "niewidzialna ręka" załatwiła, wspominałem wcześniej, choć to daleko nie wszystko. "Bicie po produkcji", mające zmusić przedsiębiorstwa do racjonalnego gospodarowania, gdyż w gruncie rzeczy do tego sprowadzał się "plan Balcerowicza", omal nie spowodowało ich zgonu! Niezależnie bowiem od wspomnianych już w innym miejscu batów, którymi je chłostano, dopuszczono jeszcze oficjalnie i nieoficjalnie do morderczej konkurencji z zewnątrz. Pozbyto się przy okazji olbrzymich sum wolnych dewiz (nie wiadomo ile) na wwóz różnych dóbr nie pierwszej potrzeby, surowców i materiałów do produkcji, jak też dóbr inwestycyjnych, koniecznych dla zdynamizowania gospodarki.

Nie tylko też nie zatrzymano procesu "nomenklaturowej prywatyzacji", ale w różnych formach ją nasilono. Margaret Thatcher, w ciągu jedenastu lat swojego premierowania w Anglii, działając w gospodarce rynkowej i w kraju posiadającym wolny kapitał,

sprywatyzowała tylko 44 przedsiębiorstwa państwowe. W Polsce, bez gospodarki rynkowej i bez wolnego kapitału, do końca 1992 r., a więc w ciągu czterech lat, sprywatyzowano 2387 przedsiębiorstw!⁸⁹ (w następnych dwóch latach sprywatyzowano dalszych 2355 przedsiębiorstw).

Przy takim tempie prywatyzacji nie można było przeprowadzić jej dobrze! Wtedy właśnie powstała baza dla nieznannej w dziejach Polski korupcji, która jest dziś plagą bez umiaru i granic.

Chiny, które miały w tym czasie już ponad dziesięć lat udanych reform gospodarczych, po rozwiązaniu “komun ludowych”, z dalszą prywatyzacją nie śpieszyły się. Eksperymentować z nią zaczęły dopiero na początku lat 1990-ch, ale na małą skalę, niewiele ją zwiększyły po 1997 r. Dopiero pod koniec 2003 r. zapowiadają, że może ją przyspieszą w “najbliższych latach”.

Skąd więc ten pośpiech w Polsce? Zgoda, nie tylko w Polsce wzięto się za prawdziwą i pozorowaną prywatyzację, gdyż podobnie było w innych “powspólnotowych krajach”, ale nie one były pionierem w tej dziedzinie. Palmę pierwszeństwa dzierżyła Polska.

A czyż nie można było znaleźć innej drogi transformacji ustrojowej, “trzeciej drogi”, której co prawda, jeszcze nie wynaleziono, ale może właśnie Polska mogła ją wynaleźć?

XXXIX

Transformacja ustrojowa, rozpoczęta przez rząd Rakowskiego, z polecenia lub przyzwolenia Jaruzelskiego, a inspirowana przez Moskwę, w części, społeczno-gospodarczej była restauracją kapitalizmu. W części politycznej ograniczała się do “głoszącej demokracji”, którą art. II Konstytucji z 2 kwietnia 1997 r. zwie “demokratycznym państwem prawa”.

Restauracja wolnorynkowego kapitalizmu, zjawisko nie tylko w Polsce, ale także w innych “powspólnotowych” krajach, przebiega jednak dość dziwnie. Początkowo bowiem coś przebąkiwano o “społecznej gospodarce rynkowej” (wymyślonej przez zachodnioniemiecką chadecję), ale w Ustawie Konstytucyjnej z 17 października 1992 r., zwanej też Małą Konstytucją III RP, zapisu takiego nie było. Jej art. 6 stwierdził jedynie, że “Rzeczpospolita Polska gwarantuje swobodę działalności gospodarczej bez względu na formę własności...” Dopiero art. 20 Konstytucji z 2 kwietnia 1997 r. stwierdza, że w Polsce istnieje “społeczna gospodarka rynkowa oparta na wolności działalności gospodarczej, własności prywatnej oraz solidarności, dialogu i współpracy partnerów społecznych stanowi podstawę ustroju gospodarczego Rzeczypospolitej Polskiej”.

Zapis ten, niezbyt jasny w treści i niewiele znaczący w praktyce, jest echem rosyjskiej konstytucji z 12 grudnia 1993 r., która w par. 1 art. 7 stwierdza, iż Federacja Rosyjska jest “państwem społecznym”. Co taki zapis oznacza w praktyce nie wiadomo, gdyż rosyjski kapitalizm, jako że gospodarka jest formalnie sprywatyzowana, narodził się w łonie tegoż “państwa społecznego”, a amerykańska prasa zwie go mianem “bandyckiego kapitalizmu”, “Bandit Capitalism”⁹⁰ (określenie ukuł b. wicepremier rosyjski Borys Niemcow), a Grigorij Jawlińskij, przywódca partii “Jabłoko”, nazywa go “kapitalizmem ze stalinowskim

obliczem”⁹¹.

Polski “społeczny kapitalizm” jest nieco mniej “bandycki” od rosyjskiego, gdzie z inicjatywy państwa i pod jego kontrolą, panują “oligarchowie”. A że tak jest świadczą o tym “wiertuszki”, specjalne telefony z sierpem i młotem na tarczy, łączące 26-ciu “oligarchów” bezpośrednio z Kreml⁹². Kreml zatem, jeśli tylko tego zechce, może taki “oligarchiczny kapitalizm” szybko zlikwidować. Tym bardziej, że jest on głównie w rękach Żydów, których można aresztować, jak to uczyniono 25 października br. z jednym z nich, Michaiłem Chodorkowskim, najbogatszym człowiekiem w Rosji, a nawet oskarżyć o jej rozkradanie, w co szeroka opinia publiczna łatwo uwierzy.

W Polsce sytuacja jest nieco odmienna, gdyż kapitalizm poszedł głębiej w społeczeństwo i jest znacznie umiędzynarodowiony (w kraju, na ponad 3,5 mln podmiotów gospodarczych, 1,8 tys. są państwowymi, 48 tys. jest spółkami z udziałem kapitału zagranicznego, 770 tys. innymi spółkami, a 2,7 mln to najczęściej jednoosobowy biznes). Ale i polski kapitalizm jest podobnie wynaturzony jak rosyjski. Na ile zaś jest on “społeczny”, jak chce w to wierzyć Konstytucja, nie jest jasne. Jeśli jeszcze “społeczna gospodarka rynkowa” załame się w Niemczech i kilku innych krajach, to z pewnością załame się także w Polsce, a wtedy pozostanie już tylko kapitalizm.

Polska, jakkolwiek go nie nazywać, rozpoczęła restaurację kapitalizmu od prywatyzacji.

Kapitalizm co prawda nie może istnieć bez własności prywatnej, ale nie ona jedynie, a nawet nie przede wszystkim, jest gwarancją jego sukcesu. Współczesny i najbardziej wybitny zwolennik kapitalizmu, amerykański noblista z ekonomii, 91-letni Milton Friedman, uzależnia powodzenie kapitalizmu od spełnienia czterech warunków: 1) istnienia państwa prawa, 2) respektowania własności prywatnej, 3) istnienia wolnych przedsiębiorstw i wolnej gry sił rynkowych oraz 4) możliwości ograniczania roli państwa w gospodarce⁹³.

Na pierwszym miejscu Friedman stawia więc "państwo prawa", bez którego istnienia prosperowanie kapitalizmu jest niemożliwe, a takiego państwa nie ma w Polsce ani w żadnym "powspólnotowym" kraju. Dalej mówi o "respektowaniu własności prywatnej", a nie jest to identyczne ze sztucznym jej tworzeniem, jak to ma miejsce w tych krajach, gdzie własność społeczną zwyczajnie rozkradziono, albo sprzedano za bezcen. "Wolne przedsiębiorstwa" zaś - Friedman jakby dawał do zrozumienia - nie muszą być konieczne prywatne.

Tym niemniej, kapitalizm, jakim go znamy, jest zasadzony na własności prywatnej.

Czym jednakże jest własność prywatna?

Nie wchodząc głęboko w istotę tego pojęcia (szerzej na ten temat napisałem w innym miejscu⁹⁴), własność prywatna nie jest jasnym "pojęciem społecznym", choć tradycyjnie uchodzi za prawo do "rozkoszowania się" rzeczami o "ekonomicznej wartości" (*Ius utendi et obutendi*). Prawo to może dotyczyć jednostek jak i zbiorowości ludzkiej. Mimo to, nie jest jasne, czy własność prywatna wynika z "naturalnych praw" czy z "ludzkiego nadania". John Locke (1632-1704), angielski filozof, prekursor liberalizmu i kapitalizmu, głosił ten pierwszy pogląd, uważając również, że nie powinno być żadnych ograniczeń w posiadaniu i użytkowaniu prywatnej własności. Po tej linii poszli też filozofowie niemieccy, Immanuel Kant (1724-1804) i Friedrich Hegel (1770-1831), uważający własność prywatną za synonim wolności człowieka.

Inaczej jednak myśleli Platon (424-347 p.n.e.), angielscy filozofowie Thomas Moore (1478-1535) i Thomas Hobbes (1588-1679) oraz francuski Jean Jacques Rousseau (1712-1778), którzy za dopuszczalną formę własności uważali jedynie kolektywną, podczas gdy niemiecki filozof Friedrich Nietzsche (1844-1900) dopuszczał własność prywatną tylko w odniesieniu do ludzi na "odpowiednim poziomie intelektualnym", wiedzącym jak z niej "rozsądnie korzystać".

Komunizm zatem, wróg własności prywatnej (podobnie jak wczesne chrześcijaństwo), nie spadł z przysłowiowego nieba. Demontując ją na terenach przez siebie opanowanych

(aczkolwiek nie do końca jak w PRL), nie czynił tego bez szerokiego poparcia społecznego. Reanimacja jej z kolei na masową skalę w krajach ginącej "wspólnoty", powinna była uwzględniać ten fakt i nie przybierać charakteru "ideologiczno-moralnej krucjaty", gdyż jej niepowodzenie mogło podkopać cel ustrojowej transformacji. I niewątpliwie podkopało. Ale czyż był ktoś kto czuwał nad tym, żeby do tego nie doszło?

W warunkach ginącej "wspólnoty socjalistycznej", której częścią była PRL, mogła to uczynić jedynie lewica z prawdziwego zdarzenia, a takiej nie było. W państwie opiekuńczym, a takim była PRL, z niezamożnym społeczeństwem, ale z jakimś minimum socjalnym, ustrojowa transformacja nie tylko nie powinna dopuścić do materialnego i gwałtownego rozwarstwienia się społeczeństwa, ale także do przerzucenia jej kosztów na jego najmniej zamożną część.

Jak wiadomo, zamiast się tego wystrzeżać, od tego właśnie zaczęto transformację.

XL

Dlaczego jedynie lewica, a nie prawica, była w stanie podjąć się dzieła ustrojowej transformacji w Polsce, podobnie zresztą jak w pozostałych "powspólnotowych" krajach, poza szczególnym wyjątkiem b. NRD, gdzie ogromne koszty radykalnej, ustrojowej transformacji wzięła na siebie, robiąc zresztą masę błędów przy tej okazji, zachodnia część zjednoczonych Niemiec? W Polsce, ani gdzie indziej w ginącej "wspólnocie", takiego "dobrego wujka" nie było i stąd należało być powściągliwym w tej radykalnej transformacji ustrojowej. Zwłaszcza w dziedzinie społeczno-gospodarczej, gdzie wbrew temu co głędził Mazowiecki, zachodnie wzorce, dalekie zresztą od doskonałości (a dziś są nimi jeszcze mniej), należało kopiować tylko wybiórczo i maksymalnie dostosowywać do lokalnych warunków.

W transformacji społeczno-gospodarczej postawiono, niestety, na dominujące znaczenie własności prywatnej w procesie wytwórczym. Jej roli, może nawet w perspektywie dominującej, nie można było uniknąć, ale nie wolno było czynić z niej naczelnego zadania i aktu wyznania! Koszty transformacji były bowiem ogromne, wręcz prohibicyjne o własnych siłach. Ich skala narzucała zatem strategię i taktykę, wolną od "ideologicznego gorsetu", w który koniecznie Polska chciała się wcisnąć, zresztą za namową także Zachodu, który w kosztach transformacji nie chciał uczestniczyć, ale za to podpowiadał jak należy ją przeprowadzać, pod kątem jego interesów oczywiście, z czym się już nie obnosił.

Obrany w Polsce kierunek transformacji z góry wykluczył poszukiwanie "trzeciej drogi". Prawda, nigdzie ona nie istniała, jeśli nie liczyć ograniczonych prób jej poszukiwania w niektórych krajach Trzeciego Świata, ale w Polsce nie należało jej wykluczać. Do tego była jednak potrzebna siła polityczna, partia lewicowa, wytyczająca "trzecią drogę" i

konsekwentnie ją realizująca. Mówię tak nie dlatego, że mam lewicowy rodowód, ale do podobnego wniosku dochodzą także ludzie bez takiego rodowodu. Socjolog Andrzej Celiński, aktywny działacz "Solidarności", a następnie wiceprzewodniczący UW, od 1999 r. aktywny działacz SLD, decydując się na zmianę swojej ideologiczno-politycznej orientacji, motywuje to następująco:⁹⁵ *"Polska, rozdarta różnicami..., potrzebuje rządów lewicowych, a nie prawicowych, ... (gdyż) ludzie są za biedni..., aby sobie jakoś radzić"*.

Polska była za biedna, żeby porywać się na budowę kapitalizmu, który zresztą nie jest ustrojem wiecznym, w dodatku metodą "terapii szokowej". Skoro już historia "oprawiła" Polskę w socjalizm, nie dyskutując o tym czym był on naprawdę, to wychodzenie z tej oprawy, albo jej rozluźnianie, powinno być szczególnie dobrze przemyślane. Tym bardziej, że w tradycji polskiej myśli lewicowej "trzecia droga" nie była novum teoretycznym. Edward Abramowski (1868-1918), filozof, socjolog i aktywny socjalista, autor prac z dziedziny socjologii i ekonomii, był pionierem w jej poszukiwaniu. Jego "kooperatyzm", socjalistyczny w swojej treści, ale odmienny od jakobinizmu (jak nazywał on marksizm⁹⁶) i od reformizmu, gdyby został po jego śmierci rozwinięty i dostosowany do wyzwań lat 1990-ch, to III RP wyglądałaby dziś inaczej.

Nikt jednak w ginącej PZPR, ani wyrosłej na jej glebie SdRP, za radzieckie pieniądze zresztą⁹⁷, ani myślał sięgać do "kooperatyizmu" Abramowskiego. Nie sięgnęła do niego również odrodzona w kraju w listopadzie 1987 r. PPS (może ze względu na jej śladowy charakter) ani działająca nieprzerwanie na uchodźstwie. Co gorsza, nie sięgnięto do niej także w "Solidarności", gdzie prawicowe prądy nie były zbyt silne, ale lewicowe też nie były popularne. W swojej masie zresztą, "Solidarność", była ogólnie za prywatyzacją gospodarki i to szybko! Przyczynił się do tego również Wałęsa, który w prezydenckiej kampanii wyborczej, przelicytowując Tymińskiego, obiecującego poprawić stopę życiową ludności w ciągu miesiąca, oferował każdemu po 100 mln starych złotych, potem 300 mln, z denacjonalizowanego majątku państwowego, faktycznie społecznego! W ten sposób stworzył

wrażenie, że istnieje jakiś ogromny majątek, którym należy obdzielić naród, a więc sprywatyzować, gdyż nie konkretyzował kto i jak miałby nim zawładnąć. A ponieważ u ludzi istniał kult gospodarczego cudotwórstwa "prywaciarzy", więc gotowi byli powierzyć im majątek społeczny, byle tylko coś po drodze z niego uszczknąć. O tym, że majątek ten można było uspołdzielczać (spółdzielnie, gorsze czy lepsze w PRL przecież istniały), albo zamieniać go na akcjonariat pracowniczy, którego istnienie dopuszczała ustawa z 1990 r., o czym w "Solidarności" mało kto wiedział.

Tymczasem zaś, dawna nomenklatura i część nowej, tej z szeregów "Solidarności", mając już nieco doświadczenia w obławianiu się na prywatyzacji własności społecznej, coraz bardziej samouwłaszczała się. Niszczyła w ten sposób nie tylko własność społeczną, ale także rzemiosło prywatne i drobną wytwórczość prywatną.

Władze III RP, co więcej, borykając się z rosnącym deficytem budżetowym, prywatyzowały majątek narodowy, sprzedając go kapitałowi obcemu dla zdobycia środków na łatanie dziury budżetowej (przy okazji ciągnąc zapewne z tego osobiste korzyści), były bez reszty za prywatyzacją. Ekonomiczne efekty tego "prywatyzacyjnego pędu" są znane.

Gdzież była lewica w tym czasie?

No cóż, lewica "z prawdziwego zdarzenia" w ogóle nie istniała ani w PRL, ani w innych krajach "wspólnoty", a tym bardziej w III RP. Lewica, utożsamiana z "radzieckim socjalizmem", była kwestionowana jeszcze w latach 1930-ch przez niektórych komunistów, jako mająca niewiele wspólnego z marksizmem. Jeden z wybitnych włoskich teoretyków marksistowskich uważał na przykład, że "radziecki socjalizm", był niczym innym niż "biurokratycznym kolektywizmem"⁹⁸, nie mówiąc już o tym, iż był on także "policyjnym państwem".

Nic dziwnego więc, że taki "biurokratyczny kolektywizm", nazwany w 1956 r. przez dysydenckiego komunistę jugosłowiańskiego Milovana Đilasa "nową klasą", zdradził interesy świata pracy w imię własnych interesów. Przywileje bowiem, jakie miał w "realnym

socjaliźmie”, były niczym wobec tych w kapitalizmie, które zdobył poprzez samouwłaszczenie.

Kryzys III RP ma więc swoje korzenie w transformacji ustrojowej, przeprowadzonej przez pseudolewicę, pod płaszczykiem “sił solidarnościowo-opozycyjnych”, które, spontanicznie i częściowo dzięki swoim agenturalnym powiązaniom, wpędziły Naród Polski w trudności rozwojowe o niemożliwym do przewidzenia finale.

Zakończenie

Kryzys III RP, obejmujący wszystkie dziedziny życia, jest w pełnym rozkwicie. Kraj, ze stopą bezrobocia przeciętnie 2-krotnie wyższą niż w Europie Zachodniej, 3-krotnie niż w USA i w którym połowa narodu żywi drugą połowę, ze stopą inwestycyjną 2-krotnie niższą od koniecznej - nie ma szans tak na szybką jak radykalną zmianę tej sytuacji i ma mglistą przyszłość. A jeśli do tego dodać jeszcze niedopuszczalnie niskie nakłady na postęp naukowo-techniczny (bez którego Polacy nie mają czego szukać w globalizującej się gospodarce światowej, z Chińczykami co najmniej 5-krotnie od nich tańszymi w tradycyjnych wyrobach), załamanie się opieki zdrowotnej, powszechną i rosnącą korupcję, niezliczone i coraz bardziej nieprawdopodobne afery, zorganizowaną przestępczość oraz ogólny upadek obyczajów, to obraz wchodzącej w XXI stulecie Polski napawa głęboką troską i najwyższym niepokojem. Zwłaszcza, że znikąd nie widać szans na przezwycięzenie wszechogarniającego kraj kryzysu.

Przezwycięzenie go byłoby możliwe, nawet szybko, gdyby kryzys nie był strukturalny, gdzie niewielkie ożywienie gospodarcze, zanotowane w połowie bieżącego roku, już spowodowało zadyszkę, grzebiąc nadzieje na znaczne przyśpieszenie tempa rozwoju w roku przyszłym i latach następnych. Oczekiwane więc "odbicie się od dna" i zabranie się do nadrabiania dzielącego Polskę od Unii Europejskiej rozwojowego zapóźnienia, może stać się nieziszczalnym marzeniem.

Co gorsza, sprawą najgroźniejszą dla przyszłości Polski jest brak siły politycznej (lub sił), która miałaby wizję rozwoju oraz wolę i energię wyprowadzenia jej z kryzysu. Partie z lewa, z prawa, tak jak z centrum, mając wspólną "tekaemowska ideologię" (od skrótu TKM, "Teraz K...a My!"), sprowadzającą się wyłącznie do walki o władzę, nie gwarantują

stworzenia takiej siły. Co najwyżej, mogą być "partiami władzy", choć i tutaj są z tym trudności, jak świadczy o tym kryzys w łonie SLD, aktualnej "partii władzy". Przywileje płynące z tytułu sprawowanej władzy w spauperyzowanym społeczeństwie, dziś już nie wystarczają na jej bezterminowe sprawowanie. Wcześniej czy później "partie władzy" zostaną zmiecione i tylko nie wiadomo co je zastąpi.

Jak zatem mogło dojść do sytuacji, z której nie widać wyjścia?

Na pytanie to starałem się odpowiedzieć w całym tekście. Nie mam bowiem wątpliwości, że zmiany ustrojowe w Polsce, podobnie jak wszędzie indziej we "wspólnocie socjalistycznej", nawet jeśli istniały dla nich obiektywne przyczyny, nie miałyby miejsca, gdyby ZSRR nie miał w tym jakiegoś celu. Domysły swoje, odnośnie takiego celu, przedstawiłem w jednej z moich książek⁹⁹ i stąd nie warto je tutaj powtarzać.

Jakkolwiek z tymi zmianami nie było, niepokojącym faktem jest, że ogromna większość ludzkości, uważa je za autentyczne, a Polacy nawet przypisują sobie wiodący w nich udział.

Nie podzielam tego poglądu. "Zimna wojna" i "dwubiegunowy świat", w ich znanym wydaniu, istotnie dobiegły końca. W rezultacie tego, bynajmniej nie spontanicznie, choć tak to wyglądało, zniknęła PRL i narodziła się III RP. Polskie "Lato 80", jako przedwczesne wydarzenie, było więc niepotrzebne. Co miało być i tak byłoby, a Polacy niepotrzebnie zapłacili w międzyczasie wysoką cenę za swój "letni zryw" i "wojnę jaruzelsko-polską".

Nagle narodziny III RP, co więcej, poprzedzone kryzysem PRL, przebiegły w sposób osobliwy, jeśli nie podejrzany¹⁰⁰ (co zresztą odczuwam na własnej skórze), a w każdym razie w polskiej historii już typowy. Powstanie II RP było rezultatem I wojny światowej, PRL II wojny światowej, a III RP "zimnej wojny". Fakt powstawania polskich organizmów państwowych w wyniku wydarzeń międzynarodowych, siłą rzeczy nadaje takim państwom kryzysogenne charakteru. Nie tylko bowiem powstają na łapu-capu, ale jeszcze nie funkcjonują normalnie, nie mówiąc już o ich trwałości. PRL, o dziwo, istniała najdłużej.

Czyżby dlatego, że nie była w pełni suwerennym państwem? Kogoś innego “bolała głowa” o takie, a nie inne jego istnienie? A czy teraz ma być podobnie z III RP? O jej losy ma martwić się NATO, Unia Europejska czy może Moskwa? Przecież rosyjska Rada Bezpieczeństwa stwierdziła wyraźnie 23 kwietnia 1993 r., że Europa Wschodnia jest jej “strefą historycznego zainteresowania”, z której nie da się wypchnąć. A ma dostateczne do tego środki, żeby słowo zamienić w czyn.

Jak długo więc przetrwa III RP (w której pełną suwerenność nie wierzę) w świecie groźniejszym od tego z okresu “zimnej wojny”, w co ludzkość nie może uwierzyć? Wtedy przynajmniej nie opowiadano i nie wszczynano “wojen prewencyjnych”. Dziś, od ogłoszenia 17 września 2002 r. Doktryny Busha, na którą odpowiedziała 2 października 2003 r. Rosja swoją “modernizacyjną doktryną”, niemal o identycznym brzmieniu, ludzkość stanęła w obliczu III wojny światowej. Kto wie, czy już nawet nie wybuchła, od kiedy USA, w odwecie za “11 września”, rozpoczęły 7 października 2001 r. “wojnę z terroryzmem”, uderzając na Afganistan i 20 marca 2003 r. na Irak. Rozpoczęta wojna, bez widocznego końca i o możliwym jej rozszerzeniu się na inne kraje, może skończyć się katastrofą dla ludzkości.

Rozważania zatem na temat przezwyciężenia kryzysu III RP, nie mogą abstrahować od sytuacji w świecie. Zwłaszcza że władze III RP, z prawa i z lewa, z własnej inicjatywy czy czyjś podszepu, dość niebezpiecznie wdają się w różne gry, które mogą się dla niej źle skończyć. W świecie bowiem następuje znów niebezpieczne tasowanie kart przez wielkie mocarstwa, które nie ominie także i Polski.

A co na to Naród Polski, czyż musi koniecznie być zdany na władze, które od początku istnienia III RP są wybierane przez jego mniejszość? I czy Polakom już nic innego nie pozostaje do działania jak, świadomie lub nie, odgrywać role wyznaczone im przez wszystkich innych?

Mimo niewielkiego pola manewru, na ogół mniejszego niż im się to wydaje, Polacy coś niecoś mają jednak do powiedzenia. Mieli nawet w PRL, a jeszcze więcej mają w III RP.

Ale co z tego? Już w pierwszych wolnych wyborach, prezydenckich w 1990 r., wybrali Lecha Wałęsę (inna rzecz, że dwaj jego konkurenci byli nie lepsi), a potem dwukrotnie wybrali Aleksandra Kwaśniewskiego, nie znając nawet jego pochodzenia! Do urn wyborczych zresztą nie garną się, ale za to wykazują talent do mnożenia partii politycznych (jeszcze nie tak dawno było ich ok. 300) i o przedziwnych nazwach (jak PPPP, Polska Partia Przyjaciół Piwa, która na szczęście już znikła, ale inne są nie lepsze). Brak powagi czy infantylnosc? I dlaczego, poza SdRP/SLD, wszystkie inne partie jakoś dziwnie "rozłazą się"? Wynik tylko pieniactwa Polaków, czy też mieszania się zewnętrznych sił?

Polacy mają więc nad czym zastanawiać się i jeśli "Kryzys III RP" zachęci ich do refleksji, to spełni on swój cel.

-
- ¹ "Unia - szansa na reformę państwa"; Gazeta PL, portal internetowy, www.gazeta.pl; 3 sierpnia 2003 r.;
- ² "Czy jesteśmy potworami?"; Polityka Nr 32, Warszawa 9 sierpnia 2003 r.;
- ³ Mikhail Gorbachev: "Perestroika"; Harper & Row, Publishers, New York 1987; str. 49 i 55;
- ⁴ Mieczysław F. Rakowski: "Jak to się stało"; Polska Oficyna Wydawnicza "BGW", Warszawa 1991; str. 111;
- ⁵ Zbigniew Bujak (rozmowa z Januszem Rolickim): "Przepraszam za "Solidarność"; Polska Oficyna Wydawnicza "BGW", Warszawa 1991; str. 110-111;
- ⁶ Krzysztof Dubiński: "Magdalenka - Transakcja epoki" (notatki z poufnych spotkań Kiszczak-Wałęsa); SYLWA, Warszawa 1990; str. 4;
- ⁷ "Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko" (rozmowa z Witoldem Beresiem i Jerzym Skoczylasem); Polska Oficyna Wydawnicza "BGW", Warszawa 1991; str. 157-158;
- ⁸ Jerzy Eisler: "Zarys dziejów politycznych Polski 1944-1989"; Polska Oficyna Wydawnicza "BGW", Warszawa 1992; str. 212;
- ⁹ Andrzej Paczkowski: "Droga do "mniejszego zła"; Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002 (330 stron);
- ¹⁰ Generał Pawłow (Witalij): "Byłem rezydentem KGB w Polsce"; Polska Oficyna Wydawnicza "BGW", Warszawa 1994 (390 stron);
- ¹¹ Stanisław Kania: "Zatrzymać konfrontację"; Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Wrocław 1991 (303 strony);
- ¹² Wojciech Jaruzelski: "Stan wojenny dla czego..."; Polska Oficyna Wydawnicza "BGW", Warszawa 1992 (434 strony);
- ¹³ "Generał Kiszczak mówi..."; op. cit.;
- ¹⁴ M. S. Gorbaczow: "Izbrannyje riecz i statii", tom3; Izdatielstwo Politiczeskoj Literatury, Moskwa 1987; str. 466;
- ¹⁵ "Spotkanie z intelektualistami na Zamku Królewskim w Warszawie"; Żołnierz Wolności nr. 164, Warszawa 1988;
- ¹⁶ Mieczysław F. Rakowski: "Jak to się stało"; Polska Oficyna Wydawnicza "BGW", Warszawa 1991; str. 119;
- ¹⁷ Op. cit.; str. 137;
- ¹⁸ M. F. Rakowski; op. cit.; str. 157;
- ¹⁹ Walter LaFeber: "America, Russia, and the Cold War 1945-1992"; McGraw-Hill Inc., New York 1993; str. 325;
- ²⁰ "Porozumienia Okrągłego Stołu: Warszawa 6 lutego - 5 kwietnia 1989 r."; Olsztyńskie Zakłady Graficzne im.

-
- Seweryna Pieniężnego, 1989 r.; str. 272;
- ²¹ Wiesław Górnicki: "Teraz już można"; Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994; str. 318;
- ²² Margaret Thatcher: "The Downing Street Years"; Harper Collins Publishers, New York 1993; str. 777-82;
- ²³ Robert L. Hutchings: "American Diplomacy and the Cold War"; The Woodrow Wilson Center Press, Washington, D. C. 1997; str. 38;
- ²⁴ James A. Baker, III: "The Politics of Diplomacy"; G. P. Putnam's Sons, New York 1995; str. 64-65;
- ²⁵ Zdzisław M. Rurarz: "Tajemnice "okrągłego stołu"; Wydawnictwo WICI, Chicago 1999; str. 62;
- ²⁶ "Przemówienie Czesława Kiszczaka na plenarnym spotkaniu "okrągłego stołu" (pełny tekst przemówienia); Trybuna Ludu, Warszawa, 6. IV. 1989 r.;
- ²⁷ "Alojzy Pietrzyk - uczestnik obrad Okrągłego Stołu"; Polityka Nr 6, Warszawa, 20 lutego 1999 r.;
- ²⁸ Henryk Piecuch: "Byłem gorylem Jaruzelskiego - mówi szef ochrony Generała"; Reporter, Warszawa 1993; str. 291-294;
- ²⁹ Andrzej Kaczyński: "Agenci generała Jaruzelskiego"; Rzeczpospolita, Warszawa, 6 września 2003 r.;
- ³⁰ M. F. Rakowski: "Jak to się stało"; op. cit.; str. 193;
- ³¹ Wojciech Roszkowski: "Historia Polski 1914-1993"; Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1994; str. 404-405;
- ³² Jacek Kuroń: "Moja zupa"; Polska Oficyna Wydawnicza "BGW", Warszawa 1991; str. 11;
- ³³ Mariusz Urbanek: "Piłsudski Bis"; Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1995; str. 115-116;
- ³⁴ Jarosław Kaczyński: "Odrotna strona medalu"; op. cit.; str. 23;
- ³⁵ George Bush: "All The Best by Bush - My Life in Letters and Other Writing"; Scribner, New York 1999; str. 365;
- ³⁶ Maureen Dowd: "Bush Urges Poles To Pull Together", The New York Times, July 1, 1989;
- ³⁷ George Bush and Brent Scowcroft: "A World Transformed"; Vintage Books, New York 1998; str. 117-119;
- ³⁸ George Bush and Brent Scowcroft: "A World Transformed"; op. cit.; 114-114;
- ³⁹ Jadwiga Staniszkis: "Poland's Self-Limiting Revolution"; Princeton University Press, Princeton, N.J. 1984; str. 48-49;
- ⁴⁰ Żołnierz Wolności; Warszawa, 1989-08-28;
- ⁴¹ Witold Bereś, Jerzy Skoczylas: "Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko"; op. cit.; str. 168;
- ⁴² Jacek Kuroń: "Moja zupa"; op. cit.; str. 12;
- ⁴³ Jerzy Robert Nowak: "Czarny leksykon"; Wydawnictwo von borowiecky, Warszawa 1998; str. 7;
- ⁴⁴ Mirosław Dakowski i Jerzy Przystawa: "Va Bank! I FOZZ - O rabunku finansów Polski"; Wydawnictwo

-
- ANTYK, Komorów 1992; str. 125;
- ⁴⁵ "Porozumienia Okrągłego Stołu"; op. cit.; str. 24-24;
- ⁴⁶ "Wystąpienie T. Mazowieckiego" (tekst); Żołnierz Wolności, Warszawa 1989-08-25;
- ⁴⁷ Waldemar Kuczyński: "Zwierzenia zausznika"; Polska Oficyna Wydawnicza "BGW", Warszawa 1992;
- ⁴⁸ Artur Gołówko (rozmowa z Henrykiem Piecuchem): "Byłem gorylem Jaruzelskiego"; Reporter, Warszawa 1993;
- ⁴⁹ Leszek Balcerowicz: "800 dni - szok kontrolowany"; Polska Oficyna Wydawnicza "BGW", Warszawa 1992; str. 10-11;
- ⁵⁰ "Oświadczenie premiera Tadeusza Mazowieckiego" (tekst); Trybuna Ludu, Warszawa 13. IX. 1989;
- ⁵¹ Leszek Moczulski, twórca i przywódca KPN, w swojej 95-stronicowej książce-wywiadzie, wydanej przez Agencję Wydawniczą SENS w 1992 r. w Warszawie, nie podaje bliższych szczegółów powstania partii, dzięki czemu niektórzy mają zastrzeżenia co do "czystości" jej rodowodu.
- ⁵² Martin Wolf: "The Morality of the Market"; Foreign Policy, September/October 2003; str. 49;
- ⁵³ Domenico Mario Nuti: "The Polish Crisis - Economic Factors and Constraints" (rozdział w pracy zbiorowej pt. "Crisis in the East European Economy", edited by Jan Drewnowski); St. Martin's Press, New York 1982; Table 1.2, str. 22;
- ⁵⁴ Zbigniew Gach: "Leszek Balcerowicz - Wyrwać"; Oficyna Wydawnicza Interim, Warszawa 1993; str. 100;
- ⁵⁵ Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej; Wydawnictwo Zrzeszenia Prawników Polskich, Warszawa 1997; str. 35;
- ⁵⁶ Jeffrey D. Sachs: "Consolidating Capitalism"; Foreign Policy No. 95; Spring 1995; str. 57;
- ⁵⁷ Rose Brady: "Kapitalizm"; Yale University Press, New Haven and London 1999; str. 54-56;
- ⁵⁸ "Rugina contra Sachs"; Chrześcijański Klub Przedsiębiorców (tłumaczenie z angielskiego i redakcja Lecha Z. Niekrasza), VERBA, Chotomów 1993; str.20-28;
- ⁵⁹ Leszek Balcerowicz: "800 dni"; op. cit.; str. 36-39;
- ⁶⁰ Zdzisław M. Rurarz: "Bezdroża polskiego rolnictwa" (80-stronicowa broszura); Wydawnictwo WICI, Chicago 2000; str. 46;
- ⁶¹ Stanisław Długosz: "Służyłem dziewięciu premierom"; Polska Oficyna Wydawnicza "BGW"; Warszawa 1992;
- ⁶² Paweł Bożyk: "Kto winien?"; Wydawnictwo PAE, Warszawa 1992; str. 137;
- ⁶³ John Ross: "Poczemu ekonomiczeskaja reforma w Kitaje uwieńczałas' uspiechom?"; Raboczaja Tribuna, Moskwa 22 oktiabria 1992 g.;
- ⁶⁴ Fox Butterfield: "China - Alive in the Bitter Sea"; Times Books, New York 1982; str. 260;

-
- ⁶⁵ Kenneth Lieberthal: "The Background in Chinese Politics" (rozdział w pracy zbiorowej pt. "The Sino-Soviet Conflict", edited by Herbert J. Ellison); University of Washington Press, Seattle and London 1982; str. 24;
- ⁶⁶ Alain Peyrefitte: "La Chine s'est éveillée", Fayard, Paris 1997; str. 60;
- ⁶⁷ Jay and Linda Mathews: "One Billion - A China Chronicle"; Random House New York 1983; str. 64;
- ⁶⁸ David Hale and Lyric Hughes Hale: "China Takes Off"; Foreign Affairs, November/December 2003; str. 39;
- ⁶⁹ Bogdan Góralczyk: "Chiny: komunizm ożeniony z kapitalizmem - Nowy ustrój komutalizm"; Polityka Nr 49, Warszawa 9 grudnia 1995 r.;
- ⁷⁰ Albert Burckhardt: "Kapitalistyczna Partia Chin"; Polityka Nr 47, Warszawa 23 listopada 2002 r.;
- ⁷¹ Dinozaury w Parku Jurajskim - Rozmowa z dr Dariań Nałęcz" (rozdział w pracy zbiorowej pt. "Piłsudski bis" pod redakcją Mariusza Urbanka); Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1995; str. 137;
- ⁷² Andrzej Zybertowicz: "W uścisku tajnych służb"; Wydawnictwo ANTYK, Komorów 1993; str. 48;
- ⁷³ Aleksandr Bondarenko: "5 nojabria - dzień wojennowo rozwiędzika"; Krasnaja Zwiezda, Moskwa 5 nojabria 2003 g.;
- ⁷⁴ Jarosław Kaczyński: "Odwrotna strona medalu"; op. cit.; str 83;
- ⁷⁵ Jarosław Kurski: "Wódz"; Wydawnictwo POMOST, Warszawa 1991; str. 23;
- ⁷⁶ "Spór o Polskę - Z Aleksandrem Hallem rozmawiają Ewa Polak i Mariusz Kobzdej"; Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1993; str. 93;
- ⁷⁷ "Niech "Solidarność" wróci do korzeni" (Przemówienie Jana Pawła II do związkowców z "Solidarności" podczas audyencji 11 listopada 2003 r.); Gazeta.pl - portal internetowy; 12-11-2003;
- ⁷⁸ Stanisław Tymiński: "Święte psy"; Wydawnictwo Oficyna (własnym nakładem), Toronto, 10 lipca 1990 r.; str. 11;
- ⁷⁹ Szeroko na ten temat piszą Paweł Rabiej i Inga Rosińska w 254-stronicowej książce pt. "Kim pan jest panie Wachowski?"; Polska oficyna Wydawnicza "BGW", Warszawa 1993 r.;
- ⁸⁰ Wiesław Władyka: "Onizm"; Polityka Nr 45 (2426), Warszawa, 8 listopada 2003 r.;
- ⁸¹ Ewa Wilk: "Polska obok Polaków"; Polityka Nr 42 (2423), Warszawa, 18 października 2003 r.;
- ⁸² Aleksander Hall: "Więcej wizji!"; Polityka Nr 45 (2426), Warszawa, 8 listopada 2003 r.;
- ⁸³ Janina Paradowska: "Z Aleksandrem Kwaśniewskim w klapie"; Polityka Nr 45 (2425), Warszawa, 11 listopada 2003 r.;
- ⁸⁴ Adam Szostkiewicz: "Karty na stół"; Polityka Nr 47 (2428), Warszawa, 22 listopada 2003 r.;
- ⁸⁵ Stratfor Intelligence Service: "Russia 2000"; Part I: The Economy; Stratfor.com; November 3, 1999; str. 2-3;
- ⁸⁶ Gen. płk. Aleksandr Ruszkin: "W otwietie za bezopasnost gosudarstwa" (artykuł napisany z okazji 240-tej

rocznicy utworzenia rosyjskiego Sztabu Generalnego); Krasnaja Zwiezda, Moskwa, 25 janwar 2003 g.;

⁸⁷ Zdzisław M. Rurarz: "Epitafium Lecha Wałęsy" (3-odcinkowy artykuł); Dziennik Chicagowski, Chicago, 5, 12 i 19 stycznia 1996 r.;

⁸⁸ Transition Report Update; European Bank for Reconstruction and Development, London, May 2003; na podstawie Annex 1.1, Table A1.1; str. 18;

⁸⁹ Mirosława Grabowska, Tadeusz Szawiel: "Anatomia elit politycznych - partie w postkomunistycznej Polsce 1991-1993"; Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1993; str. 15 i 89;

⁹⁰ Peter Baker: "1994 Deal Comes Back to Haunt Oil Tycoon in Russia"; The Washington Post, November 11, 2003;

⁹¹ Susan B. Glasser: "Russia's Democrats Face Prospect of Irrelevance"; The Washington Post, November 14, 2003;

⁹² Arkady Ostrowsky: "Russia's nervous oligarchs left hanging on the Kremlin"; FT.com Financial Times; November 25, 2003;

⁹³ "Le triomphe du libéralisme" (Henri Lepage, entretien avec Milton Friedman); Politique Internationale, No. 100, été 2003;

⁹⁴ Zdzisław M. Rurarz: "Komuchy"; Wydawnictwo WICI, Chicago 1998 (371 stron);

⁹⁵ "Mówię to, co mówię" (rozmowa Andrzeja Celiskiego z Małgorzatą Subotić, zamieszczona w "Rzeczypospolitej" i przedrukowana przez "Dziennik Chicagowski" z 14 listopada 2003 r.);

⁹⁶ Wojciech Giełżyński: "Edward Abramowski - Zwiastun "Solidarności"; POLONIA, Londyn 1986; str. 98;

⁹⁷ Dowody tego, w oparciu o rewelacje tygodnika "Rossija", organu parlamentarnego radzieckiej republiki rosyjskiej, zrelacjonowała "Gazeta Wyborcza" z 7 listopada 1991 r.;

⁹⁸ Bruno Rizzi: "The Bureaucratization of the World" (praca, zatytułowana w oryginale "La Bureaucratization du Monde", ukazała się w Paryżu w 1939 r.); The Free Press, New York 1985; str. 31-32, 38 i inne;

⁹⁹ Zdzisław M. Rurarz: "Ku zagładzie", Wydawnictwo WICI, Chicago 2002 r. (w dwóch częściach, 544 strony);

¹⁰⁰ Mając to właśnie na względzie, swoją 3-częściową książkę-wywiad nie przypadkowo zatytułowałem "Perfidna gra" (Wydawnictwo WICI, Chicago 1993-1997);